PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

TOM VI

(1933 — 1935)

KIELCE — WARSZAWA 1935
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

TOM VI

(1933 — 1935)

KIELCE — WARSZAWA 1935
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN

Druk Jana Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5. Tel. 11-91-03.

DZIESIĘCIOLECIE

DZIESIĘĆ lat upłynęło od założenia Koła Kielczan. Że nasze stowarzyszenie koleżeńskie przetrwało tyle lat, już to samo ma swoje znaczenie, dowodzi bowiem, że motywy, któremi się uzasadniało jego potrzebę, były realne. Oczywiście zgóry się wiedziało, że nie zdoła ono pociągnąć na stałe wszystkich wychowańców szkół kieleckich, wszakże rozumiano, że powinna istnieć instytucja, realizująca choćby na małą skalę ideę miłości dla gniazda szkolnego. Chodziło inicjatorom o to, by nie szła na marne tak cenna społecznie pamięć zbiorowo przeżytych lat młodzieńczych, a następnie by dług wdzięczności, w młodych latach zaciągnięty, mógł być w jakiś sposób spłacany przez niesienie pomocy tym pokoleniom, które z tych szkół obecnie wychodzą i, kształcąc się w wyższych zakładach naukowych, znajdują się narazie bez oparcia w społeczeństwie.

W celu wypracowania i szerzenia tych zdrowych idej Koło Kielczan wzięło na siebie statutowo obowiązek wydawania „Pamiętnika". Rocznik niniejszy jest już szóstym zkolei tomem tego wydawnictwa.

Macierzą „Pamiętnika Koła Kielczan" jest wydana w r. 1925 „Księga Pamiątkowa Kielczan", obszerny tom, opracowany przez jednego z głównych twórców Koła Kielczan, ś. p. Tomasza Ruśkiewicza. Kolega Ruśkiewicz, którego pamięć Koło przechowuje ze czcią i wdzięcznością, był gorącym propagatorem haseł koleżeńskiej przyjaźni, jako dodatniego czynnika w życiu społecznem. Jego to inicjatywie zawdzięczamy zjazd we wrześniu 1924 r., który dał początek życiu Koła. Na tym zjeździe kieleckim potrzebę Koła motywował ś. p. Jan Zydler, znakomity wychowawca młodzieży, wiceprezes naszego stowarzyszenia.

Portrety obu tych kolegów tak zasłużonych dla Koła, podajemy w tym roczniku.

Na zamknięcie tego tomu podajemy też krótkie zestawienie cyfr i dat, charakteryzujących dzieje Koła Kielczan w ciągu ubiegłych lat dziesięciu. Nie będziemy więc w tem miejscu dziejów tych opowiadać.

Skromne środki, któremi rozporządza Koło, nie pozwalały na rozszerzenie stopy wydawnictwa naszego, a zwłaszcza na uczynienie z niego stałego rocznika. Wszakże, jak łatwo przekonać się o tem z podanego na końcu zestawienia treści sześciu wydanych tomów, zawiera ono tyle interesującego i cennego materjału, że Kielczanie poszczycić się mogą przodownictwem w tego typu akcji regjonalnej. Przyznano tę zasługę Kołu w prasie i w kołach naukowych.

Zwracamy na to uwagę nietylko kolegów, ale wogóle sfer oświeconych Kieleczczyzny. „Pamiętnik" za to ubiegłe dziesięciolecie powinien się znaleźć w bibljotece każdego kielczanina niezależnie od tego, czy należy do Koła, czy był wychowańcem szkół kieleckich. Należy mieć pretensję do księgarstwa w miastach województwa kieleckiego, że tak specjalnie do obiegu regjonalnego przeznaczonych wydawnictw nie otacza należytą pieczą. Zniżone obecnie ceny (ob. na końcu katalog) powinny „Pamiętnik" uprzystępnić każdemu.

Koło znalazło najgorętsze poparcie w starszych pokoleniach kieleckich. Roczniki powojenne dojrzewają dopiero do tego stanu, kiedy wspomnienia stają się potrzebą ducha. Koło czeka na nie.

PAMIĘTNIK ANDRZEJA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO

SŁOWO O AUTORZE

Andrzej Roch Świętochowski urodził się dnia 16 sierpnia 1844 roku, w mieście Sławkowie w powiecie olkuskim ziemi kieleckiej, z ojca Ignacego, byłego oficera 5-go pułku strzelców, rannego w rękę pod Ostrołęką w okresie powstania listopadowego 1831 roku (stryj jego, również oficer tegoż pułku, po powstaniu wyemigrował do Francji i umarł w Limoges) i matki Emilji z Kluszczyńskich I-mo voto Nielepiec.

Ojciec Andrzeja, Ignacy Świętochowski po powstaniu 1831-go roku pozostał w kraju i pełnił funkcje konduktora szosowego na odcinku szosy olkuskiej.

Wskutek trudności finansowych, w których znalazł się jego ojciec, obarczony liczną rodziną, Andrzej Świętochowski był wychowywany przez dziadka Kluszczyńskiego, naczelnika komory celnej w Niepołomicach.

Po dzieciństwie, spędzonem bez rówieśników w atmosferze prawie wiejskiej, gdyż ówczesne miasto Sławków, tonące w ogrodach, niczem prawie nie różniło się od wsi — i pierwszych początkach nauki, pobieranej w Dąbrowie Górniczej, wstąpił w roku 1855-ym do klasy II-ej wyższej szkoły realnej w Kielcach, którą ukończył w roku 1861-ym.

W latach 1861—63-im trudnił się częścią nauczycielstwem domowem, częścią przepisywaniem w kancelarji inżyniera powiatu Miechowskiego.

Wybuch powstania 1863-go roku przeżył w Miechowie, gdzie był świadkiem ataku na to miasto powstańców pod wodzą A. Kurowskiego i okrutnego odwetu Moskali, którzy, wypędziwszy całą ludność z miasta, oddali je na pastwę płomieni.

Wypędzony z Miechowa, A. Świętochowski, skorzystał z opieki powinowatego swego ś. p. Michała Katarzyńskiego, ówczesnego wójta gminy Giebułtów i sposobił się do udziału w powstaniu pod wodzą Langiewicza.

Po napadzie Moskali na Giebułtów, w którym ciężko zraniono jego opiekuna, Andrzej Świętochowski przedostał się przez otwartą wówczas granicę do Krakowa, gdzie w duszy jego nastąpił zasadniczy przełom.

Wypadki bowiem ustawiły go tak, iż przyjrzał się powstaniu nie od strony „lasu”, gdzie lała się bohaterska krew polska, lecz od strony „tyłów”, gdzie rozmaitego typu „łaziki”, buńczucznie nadrabiając miną, poprostu się dekowali.

Ujrzawszy poryw narodu od strony ujemnej, załamał się w sobie i do oddziału Langiewicza nie poszedł.

Pozostał w Krakowie.

W tym czasie imał się różnych zajęć. Pracował w aptece; jakiś czas pełnił funkcje niższego urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń „Florjanka”; już też uczył arytmetyki i geografji w niższych klasach pensjonatu Dobrzęckiego, — a jednocześnie uczęszczał, jako wolny słuchacz, na wykłady Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Wróciwszy do kraju w 1864-ym roku, pociągnięty przez ś. p. Adolfa Dygasińskiego dawnego swego przyjaciela i starszego kolegę z wyższej szkoły realnej w Kielcach, — przeszedł na wydział filologiczny, który ukończył w roku 1869-ym.

Przez dwa lata przebył jako nauczyciel prywatny w domu Jana Orsettiego (wieś Ujazd w Sandomierskiem); tam bliżej zetknął się z Pawłem Popielem i jego rodziną, której zawdzięcza impuls do dalszego kształcenia się.

Po powrocie do Warszawy wstępuje w dniu 1 sierpnia 1871-go roku do świeżo zawiązanego Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od ognia, a jednocześnie wykłada geografję powszechną, oraz dawnej Polski w zakładach męskich: Babińskiego i Beniego, oraz w żeńskich: Żeleszkiewiczówny, Budzińskiej Rzeszotarskiej i Sikorskiej.

Wiele podróżuje, poznaje nieźle Niemcy, Austrję i Włochy.

Obdarzony nieprzeciętnemi zdolnościami literackiemi, drukuje poezje w czasopismach warszawskich: w „Kurjerze Niedzielnym”, „Gazecie Polskiej i „Tygodniku Ilustrowanym”, tudzież poświęca się badaniom sztuki, których owocem jest trzytomowa praca pod tytułem „Galerje włoskie”.

Jednocześnie, poświęcając się studjowaniu umiłowanego przez siebie przedmiotu: geografji, bierze udział w redagowaniu „Słownika Geograficznego”, oraz, wespół z Nałkowskim, opracowuje „Wielki Atlas Geograficzny”; umieszcza także cały szereg artykułów geograficznych w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej”.

W swej bezpośredniej pracy zawodowej na polu asekuracji zdobywa sobie stanowisko jednego z najlepszych w Polsce znawców; drukuje również cały szereg prac w tej

dziedzinie i, pnąc się po szczeblach urzędniczych, osiąga stanowisko naczelnego dyrektora Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, zawdzięczając je swej pracowitości i nieskazitelności charakteru.

Na tem kierowniczem stanowisku zabłysnął jako wybitny organizator.

Pielęgnując najlepsze tradycje tej instytucji, wkłada ś. p. Andrzej Świętochowski w rozwój jej całą swą duszę, imponując najmłodszym i najzdolniejszym swoją niesłychaną pracowitością, niepożytą energją, wydajnością pracy, darem orjentacyjnym, trafnością sądu i taktem w postępowaniu.

Cechowała go przytem niezwykła prawość, skromność, ujmujące obejście, tudzież żywe współczucie dla każdej godziwej potrzeby.

Nic też dziwnego, że na tem stanowisku zdobył sobie powszechną sympatję i szacunek i pozostał na niem, pomimo wyjazdu do Rosji w roku 1914, do roku 1918-go, w którym to roku, złamany przejściami wojennemi w Rosji, tudzież śmiercią żony — zrezygnował ze stanowiska naczelnego dyrektora, pozostając członkiem rady nadzorczej.

Umarł, dożywszy sędziwego wieku, dnia 17-go grudnia 1928-go roku, w otoczeniu dzieci, wnuków i prawnuków.

Poza pracami drukiem ogłoszonemi, pozostawił pamiętnik, rozpoczęty w roku 1902-im, wyjątki z którego, odnoszące się do pobytu w wyższej szkole realnej w Kielcach, złożyliśmy redakcji „Pamiętnika Kieleckiego".

Pamiętnik ś. p. Andrzeja Świętochowskiego nie został ukończony, obejmuje on bowiem, poza latami szkolnemi, spędzonemi w Kielcach, Szkołę Główną, oraz okres prywatnego nauczania w domu państwa Orsettich.

Rolę swą, jako pamiętnikarza, jak zresztą wszystko w życiu, ujmował bardzo odpowiedzialnie.

Na wstępie bowiem swego pamiętnika napisał następujące słowa: „Dążyłem zawsze i dążyć będę do bezwzględnej prawdy i do bezstronności sądu. Gdzie tej prawdy zupełnie pewnym nie jestem, wolę dodać słówko «podobno», «może», «jak mówiono» i t. p. Co zaś do sądu o danej rzeczy, czy osobie, uczciwiej jest być ostrożnym i wyrozumiałym, aniżeli ryczałtowem a nieuzasadnionem należycie potępieniem szkodzić cudzej dobrej sławie, gdy ta już się bronić nie może".

Poza swym pamiętnikiem pozostawił ś. p. Andrzej Świętochowski cały szereg wrażeń z podróży i notatek,

dotyczących wspomnień o przyjacielu swoim ś. p. Adolfie Dygasińskim, tudzież innych kolegach ze Szkoły Głównej.

Notatki te i wrażenia znajdują się w posiadaniu jego wnuczki Ireny ze Świętochowskich Popoffowej, której, umierając, ś. p. Andrzej Świętochowski wszystkie swoje rękopisy przekazał.

EUGENJUSZ POPOFF.

W SZKOLE KIELECKIEJ

Był to prześliczny poranek na początku sierpnia, kiedy pod opieką najstarszego brata Tadeusza wyruszyliśmy do Kielc, o 17 mil odległych. Tak dalekiej podróży nie odbywaliśmy dotąd nigdy. Cieszyliśmy się nią z bratem Stefanem oddawna, — bośmy wiedzieli, że spotkamy po drodze nowych ludzi, nowe miasta, rzeki i okolice. Z drugiej jednak strony ogarniał nas jakiś lęk na myśl, jak to będzie w szkole, jak pójdą egzaminy, jakich będziemy mieli kolegów i profesorów. Szkołę wyobrażaliśmy sobie na podobieństwo szkółki elementarnej — tylko zastanawiała nas okoliczność, że jest w niej aż kilkunastu profesorów i wiele dużych sal dla uczniów. Przez całą drogę wsłuchiwaliśmy się w opowiadania Tadeusza, który, jako świadom rzeczy, informował nas o wielu szczegółach, dawał przestrogi i wskazówki, rozpowiadał o szpiegach i lizusach, o wagarach i przezwiskach profesorów, o życiu na stancjach uczniowskich i t. p. Jechaliśmy drogą bitą tak wyborną, że podobne istnieją dziś chyba tylko w Niemczech i Francji — i okolicą tak ładną, zwłaszcza pod Książem Wielkim, Chęcinami i Białogonem, że się na całe życie uplastyczniła w młodej pamięci.

Same zaś Kielce ze starą, dziś nie istniejącą, Bramą Krakowską, ze wspaniałą katedrą, z ogrodem spacerowym, z marmurowemi chodnikami i pięknym zamkiem biskupim, któremu gubernator Czengiery czy Chlebnikow po powstaniu poobcinał cztery wieże — zrobiły na nas potężne wrażenie. Tak dużego i ładnego miasta nie spotykaliśmy po drodze. Uderzyło nas i to także, żeśmy ani tu, ani w Miechowie nie znaleźli żydów. Objaśnienie tego faktu, choć nieścisłe, znalazłem dopiero w „Geografji" Obodowskiego, gdy w 3-ej i 4-ej klasie zaprowadzono wykład niektórych przedmiotów w języku rosyjskim; pod wyrazem Kielce

czytaliśmy między innemi: „Zdzieś wsiłu starinnago zakona zapreszczeno sielitsia jewrejam".

Egzamin do drugiej klasy wypadł nam obu pomyślnie, tak, że bez żadnych próśb specjalnych, bez poprawek lub uwzględnień, zostaliśmy przyjęci. Charakterystyczne jednak było to, że ja, od dzieciństwa zamiłowany w geografji, omało nie przepadłem z tego przedmiotu; na zapytanie bowiem, jakie rzeki w Afryce wpadają do oceanu Atlantyckiego, odpowiedziałem szybko: „Kongo, Niagara (zamiast Niger), Senegal i Gambia". Już prof. Przeorski miał postawić dwójkę i zakwestjonować moją drugą klasę — gdy rzuciwszy okiem na rezultat innych egzaminów i dostrzegłszy w nim same czwórki i piątki — zadał mi jeszcze kilka pytań. Odpowiedziałem na nie bez zarzutu i zamiast dwójki dostałem czwórkę. Pamiętam, że obydwaj z bratem ani przed egzaminem, ani też w czasie jego trwania nie doświadczaliśmy żadnego lęku, odpowiadaliśmy swobodnie i nie tropiliśmy się surowemi minami profesorów.

Wkrótce przyobleczono nas w mundury z czerwonemi kołnierami i takiemiż lampasami u czapek, co czyniło nas podobnymi nieco do małych burmistrzów lub policjantów. Byliśmy jednak dumni z tego uniformu. Zamieszkaliśmy na jednej z licznych stancyj uczniowskich u niejakiej wdowy Tomaszewskiej na ul. Leśnej.

Tak zwanym stancjom należy się tu słów kilka. Arystokratyczne stancje były u profesorów. Nazywaliśmy je tak dlatego naprzód, że zamieszkiwali je przeważnie synowie obywateli ziemskich, następnie, że były najdroższe, bo dochodziły do 2000 złp. i wyżej rocznej opłaty, — wreszcie, że były najludniejsze, wolne od kontroli szkolnej i miały stałych korepetytorów. Stancje profesorskie, oprócz lepszych wygód, choć niezawsze lepszego pożywienia, zapewniały także względniejsze stopnie i łatwiejszą promocję. Niektórzy profesorowie wchodzili ze sobą w stosowne porozumienie pod tym względem, na zasadzie: „do ut des" i tym sposobem wzajemnie wyrównywali stopnie swych elewów, jeśli chodziło o promocję. Tyle jednak liczono się z opinją uczniów i ze sprawiedliwością, że przez cały czas pobytu mego w Kielcach nie przypominam sobie, by którykolwiek notoryczny osioł ze stancji profesorskiej przedostał się do wyższej klasy drogą podobnych ustępstw. Najczęściej ściągała się taka względność do uczniów średniej pilności i zdolności.

Drugą kategorję stanowiły stancje, utrzymywane przez sekretarza szkoły Sakowicza i przez utrzymującego pensję

męską Hillera. Płaciło się tu rocznie przynajmniej 600 złp. i miało się nadto stałego korepetytora, ucznia V lub VI klasy. Nadzór szkolny, ze względu na osoby utrzymujących stancje, był tu rzadszy i istotnie mniej potrzebny.

Do trzeciej kategorji należały stancje, utrzymywane przez Tomaszewską, Tołczykową, Langową i kilka innych ejusdem farinae. Płacono tu rocznie około 400 złp. Od nas obydwóch, o ile pamiętam, brała Tomaszewska 750 złp. gdyż nie braliśmy korepetycji, za którą płaciło się osobno po 40 do 50 złp. rocznie. Nakoniec, kategorję czwartą stanowiły już nie stancje, ale poprostu kąty i kąciki u biednych mieszczan lub rzemieślników, gdzie za utrzymanie płacono częścią w gotowiźnie, częścią w produktach spożywczych, jak jaja, masło, mąka, groch, kasza, słonina i t. p. Na takiej stancji u jakiegoś rzemieślnika mieszkał uczeń 2 klasy syn chłopski, niejaki Pałysiewicz, a właściwie Pałysa. Temu, jako zapłatę dla rzemieślnika na utrzymanie, przysłała raz matka wiktuały, zapakowane w gatki, z następującą kartką: „Kochany synu. Posyłam ci portkę mąki, portkę kaszy, d..ę grochu i w oszywce 3 grosze". Niektórzy z uczniów mieścili się w seminarjum duchownem, albo bezpłatnie, albo za marne pieniądze.

Nadzór nad stancjami wykonywała zwierzchność szkolna przez prefekta, którym był wówczas ks. Brudzyński, przez profesorów i przez inspektora Filanowicza. Od czasu do czasu zjawiali się ci rewizorowie na stancji — lustrowali czystość i porządek, stwierdzali obecność lub nieobecność uczniów, wypytywali o rozmaite szczegóły i wkońcu do przygotowanej ad hoc kontroli wpisywali to, co znaleźli godnego uwagi. Po takiej rewizji bywało rozmaicie; nazajutrz płaciło się za to nieraz kozą albo i czemś gorszem. Niekiedy zwiedzano także i zakłady jadłodajne, — i tym sposobem schwytano raz kilku uczniów na bilardzie u Jeklowej, innym zaś razem na ponczu w cukierni. Następstwa były łatwe do przewidzenia — gdyż obok specjalnych argumentów ad hominem uczniowie otrzymywali złą notę ze sprawowania się, a stancja dana — ostrzeżenie. W podobnych wypadkach kara nie mijała i ucznia ze stancji profesorskiej. O ile jednak dziś mogę sądzić, rewizje owe miały na celu nietylko uczniów ale i utrzymujących stancje: często bowiem zdarzało się, że za ciasnotę pomieszczenia, brak czystości lub porządku, wreszcie za niedostateczny nadzór nad uczniami, gospodynie otrzymywały surowe wymówki, kończące się nieraz zamknięciem stancji.

*

* *

„Szkoła wyższa realna” w Kielcach z dążnością górniczą miała — klas sześć. Wpis szkolny w czterech niższych wynosił 50 złp. — w dwóch wyższych 100. Uwalniano od wpisu rzadko — przeważnie synów urzędników, którzy przedstawili świadectwo ubóstwa, oraz synów biednych mieszczan lub włościan, jeśli uczyli się i sprawowali wzorowo. Godziny szkolne: od 8—12 zrana i od 2—4 po południu; rekreacje dwa razy w tygodniu, t. j. w środy i soboty, — później we wtorki i czwartki: — w dni rekreacyjne uczniowie wolni byli od popołudniowych dwóch godzin zajęcia. Tym sposobem ilość godzin szkolnych wynosiła tygodniowo 32. Rok szkolny rozpoczynał się 1 sierpnia, właściwie zaś 6-go gdyż czas od 1 do 6 zajęty był egzaminami nowych uczniów lub powakacyjnemi dawnych. Prócz niedziel i świąt uroczystych katolickich oraz dworskich, uczniowie byli wolni od zajęć: w Dzień Zaduszny, na Boże Narodzenie od 20 grudnia do 2 stycznia, w zapusty od soboty do środy i na Wielkanoc od soboty przed Niedzielą Palmową do poniedziałku po Niedzieli Przewodniej. Świąt prawosławnych nie obchodzono zgoła, — rok szkolny kończył się zwykle 27 czerwca. Zmianę godzin obwieszczał donośny dzwonek; wyjście jednego profesora i wejście następnego odbywało się zazwyczaj jednocześnie, tak, że uczniowie zaledwie mieli czas schować jedne książki i kajety i wyjąć inne. O godz 10 była pauza 10-o minutowa, poświęcona głównie drugiemu śniadaniu; kto miał trochę monety, posilał się kiełbaskami parowemi lub serdelkami, dostarczanemi przez specjalnego wędliniarza — inni poprzestawali na dwóch suchych bułkach, otrzymywanych ze stancji.

Każda klasa miała swój dziennik z wykazem uczniów, wymienionych z imienia i nazwiska. Poza obecnością nauczycieli pozostawał on w ręku i na odpowiedzialności prymusa lub podprymusa; zapisywano do niego: godzinę, przedmiot wykładany, nieobecnych lub spóźnionych, wreszcie uczniów, którzy zasłużyli na pochwałę lub na jakąbądź naganę. Po skończeniu nauk dziennych prymus obowiązany był złożyć dziennik w kancelarji lub dyrektorowi szkoły do ręki, jeśli ten był na korytarzu obecny przy wyjściu uczniów ze szkoły. Zapisywanie noty nagannej odbywało się stereotypowo: np. A. za lenistwo, B. za hardość, C. za niespokojność, D. za bijatykę na lekcji, E. za używanie nieprzyzwoitych wyrazów i t. p. Uczeń zapisany do dziennika z naganą, winien był dobrowolnie zostać się w klasie po skończeniu lekcji, by otrzymać karę — niespełnienie

tego wymagania podnosiło jej stopień. Kary były następujące: nagana ustna, koza jedno lub wielogodzinna, czasami całodzienna, odkładana zwykle do najbliższego święta, dalej nagana publiczna, wreszcie chłosta od trzech do dwudziestu pięciu rózeg. Podczas lekcji niektórzy nauczyciele wymierzali także doraźne kary, czy to zapomocą bicia łap drewnianą szeroką linją, czy to klęczeniem, targaniem za uszy lub włosy; często też były epitety w rodzaju, osioł z dodatkiem dardanelski lub dardański, nygus, wałkoń, truteń, bestja, a to stosownie do temperamentu i nałogu danego nauczyciela. Karano też częste spóźnianie się kozą, a gdy to nie pomagało, to i chłostą; bardzo surowo karcono grę w karty lub bilard, ubliżanie profesorom, wagary i nocne wycieczki. Przy końcu każdego miesiąca było jeneralne pranie wszystkich leniów, którzy w dzienniku świecili pałkami lub dwójkami. Słowem system kozy, bata i innych środków wychowawczych święcił w Kielcach swój tryumf (a o ile wiem, to i gdzie indziej) i to bez różnicy wieku lub klasy. Nawet mimowolne nie zdjęcie czapki przed profesorem lub noszenie długich włosów — karano nieraz surowo. Mikołajewskie to czasy — a jednak dziśby pod niejednym względem wzdychać do nich można. Jedną z kar bardzo dotkliwych i stosowanych do uczniów klas wyższych było klęczenie w klasie niższej. Taka kara spotkała mnie właśnie w szóstej klasie i to najniesłuszniej: podczas wizytacji corocznej, dopełnianej wówczas przez Józefa Korzeniowskiego, uczniowie klas niewizytowanych jeszcze byli pozbawieni czasowo nauczycieli, którzy z obowiązku przy wizytatorze pozostawali. Jako prymus czuwać musiałem nad porządkiem klasy, zachowującej się zresztą spokojnie; od czasu do czasu wychodziłem ku drzwiom, by się przekonać, czy wizytacja już się skończyła. Stojąc przy drzwiach ujrzałem naraz Filanowicza, wyrosłego nagle jak z pod ziemi, który kazał mi usiąść na swem miejscu. Posłuszny, cofałem się ku wnętrzu sali i bez żadnej zgoła ukrytej myśli, odkaszlnąłem i splunąłem głośno. Wziął to za obrazę swej godności i poskarżył się przed prefektem Brudzyńskim, który nazajutrz zaprowadził mię do drugiej klasy i kazał klęczeć przez 1/2 godziny. Daremne były moje szczere ekskuzy — karę odcierpiałem, ze względu na patent i ojca, alem odczuł głęboko całą gorycz w sercu i całą niesprawiedliwość władzy szkolnej. Ileż to razy wychowawcy, nie z prawdziwego powołania, ale z przypadku, dopuszczają się szkodliwych

dla swych elewów błędów i omyłek — ileż to razy deprawują proste serca i paczą charaktery.

Lecz zastanawiając się nad temi sprawami, dochodzimy do przekonania, że specjalny systemat kar, od bata począwszy, był jeszcze wówczas w powszechnem użyciu — w normie niejako. Całe społeczeństwo było tak wychowywane. Bito w więzieniu i w wojsku, bito z wyroków sądu, bito z rozporządzenia wójta gminy i burmistrza, bito dzieci w domu, bito je więc i w szkole. Bat spospolitował się i stał się w edukacji młodego pokolenia czemś tak niezbędnem, jak chleb w codziennem życiu. Nie pojmowano zgoła, by bez tego środka można było utrzymać porządek państwowy, karność domową i szkolną. Ojciec, odwożąc malca do szkół, szeptał niekiedy zwierzchnikowi na ucho: „Niech tam szanowny dyrektor zapisze co czasem temu smarkaczowi na skórze, by nie zapomniał moresu". O podniesieniu ambicji i godności własnej młodzieńca, o perswazji, o rozbudzaniu szlachetniejszych porywów i o innych tym podobnych środkach kulturalnego kształcenia umysłu i charakteru młodzieży nie było wówczas mowy — a jeśli tu i ówdzie zdarzały się jasne wyjątki, niknęły w szarym ogóle. Czasy Czackich i Śniadeckich minęły...

Udzielanie korepetycyj nie było w wielkiem użyciu. Uczniowie tej samej klasy zazwyczaj pomagali bezpłatnie kolegom biednym mniej zdolnym, na tej samej stancji zamieszkałym; — nawet uczniowie klas wyższych zupełnie bezinteresownie udzielali pomocy młodszym. Jeśli jednak korepetytor przychodził do ucznia, pobierał wynagrodzenie miesięczne, które 20 złp. nie przenosiło. Korepetytorzy stancyjni mieli obowiązek pomagania tym, co płacili za stancję „z korepetycją". Stosownie do liczby takich uczniów mieli oni stancję albo darmo, albo za pół ceny. Niekiedy nawet dopłacano im kilkadziesiąt złp. na rok. Będąc w 4 klasie dawałem korepetycję synowi jakiegoś rzeźnika z 1 klasy i otrzymywałem za to po 2 złp. tygodniowo. W 5 klasie udzielałem lekcyj synowi sędziego Kalinowskiego, który płacił mi za to miesięcznie 15 złp. W 6 klasie byłem jeneralnym korepetytorem na stancji u prof. Duchnowskiego, który prócz całkowitego utrzymania i mieszkania zapłacił mi w końcu roku 80 złp. Miałem wówczas uczniów ze 12-u i pracy z nimi po uszy. Między tymi uczniami byli bracia Grubińscy, Ludwik, późniejszy aktor, i Florjan, późniejszy mechanik i wynalazca. Z korepetytorów stancyjnych nieprofesorskich głośni byli za moich czasów: Adam Mazurkiewicz, późniejszy budowniczy w War-

szawie, na stancji u Tomaszewskiej; Franciszek Jentys u sekretarza Sakowicza, — a przedewszystkiem Adolf Dygasiński u Tołczykowej. Dygas, o dwie klasy starszy odemnie, miał mir ogromny u swych kolegów, ale go nie miał u władzy. Łobuz z temperamentu, z sercem wylanem dla przyjaciół, z głową otwartą, z umysłem niepodległym i wrogim dla wszelkich lepionych formułek i prawideł, nie mógł zmieścić się w ciasne ramki ówczesnego życia szkolnego i pogodzić się z zasadami jego moralności. Zamiłowanie bezwzględnej prawdy, wstręt do pruderji, perfidji i obłudy, pogarda dla krzywdzicieli już go wówczas cechowały. To też w częstych był zatargach z władzą, która go nieraz dokuczliwie prześladowała za różne przewinienia, za krnąbrność, nocne wycieczki z kolegami, grę w karty, a głównie za „wolnodumstwo". Nieraz jeszcze o nim wspomnę.

Nauka wszystkich przedmiotów wykładana nam była w języku polskim. Nawet nauczyciele języka rosyjskiego, jak Smirnow, Jezierski i Roszczyn używali w objaśnieniach języka polskiego, zwracali baczną uwagę na ortografję, odnosząc ją porównawczo do polszczyzny, na akcenty i poprawność wymowy. Miało to niewątpliwie lepszy skutek, niż obecny systemat — gdyż uczeń mniejszym nakładem czasu i trudu osiągał znajomość jęz. rosyjskiego, jeśli pewne formuły i prawidła miał sobie podawane w zrozumiałych terminach i zrozumiałym dla siebie językiem. Nie było też żadnej pogardy między uczniami dla jęz. rosyjskiego, który należał do tak zwanych przedmiotów „ważnych"; conajwyżej tylko, kładziono go niżej od polskiego. Nic też dziwnego, że gdy z polecenia Komisji Oświecenia publicznego zaprowadzono sposobem próby wykład niektórych przedmiotów po rosyjsku (geografji, geometrji i historji) nietylko nikt nie sarkał ani nie frondował, ale przeciwnie z wielką ochoczością ćwiczono się w spamiętaniu rozmaitych terminologij matematycznych lub geograficznych. Nie było więc opozycji między nami, bo jej nie było między starszymi, — między starszymi zaś nie było jej dlatego, że ludność rosyjska i prawosławna, czy to wojskowa, czy też urzędnicza lub kupiecka zachowywała się z godnością, nie prowokując ludności miejscowej, ani jej nie poniżając. Takie stosunki pozwalały obu stronom na wzajemne odwiedzanie się w domach, skutkiem czego np. na święta wielkanocne dygnitarze prawosławni zapraszani byli na święcone przez rodziny katolickie i odwrotnie. Ja sam pamiętam, że byłem z kolegami na święconem w domu żandarma Przewalińskiego i u Kondakiego, gdzie wszyscy po

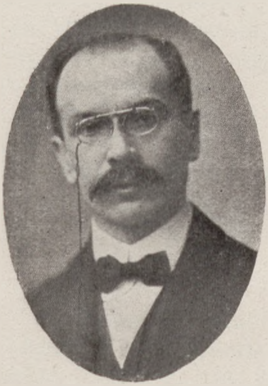
polsku z nami mówili i bardzo gościnnie nas przyjmowali. Kupcy kieleccy Łucznikow i Dutow, pomimo, że prawosławni i rosjanie, byli ogólnie szanowani i lubiani; — ich domowym językiem był polski, Łucznikow i obaj Kondakowie, a także Przewaliński byli naszymi kolegami i dobrymi towarzyszami, którymi nikt z nas nie krępował się z powodu ich wyznania lub pochodzenia, nie obawiał się ich „szpiegostwa“ ani też nie używał względem nich epitetu „moskal“. Narówni z nami uczyli się obowiązkowo wszystkich przedmiotów po polsku, nie wyłączając jęz. polskiego, którym mówili tak poprawnie, jak rodowici polacy. Czasami bywali też i na wykładzie religji. Innych rosjan prócz wyżej wspomnianych nie przypominam sobie. Żyda pamiętam jednego tylko, niejakiego Sunderlanda, protestantów było kilku, lecz względem inowierców nie było żadnych uprzedzeń. Pojęcia o etyce koleżeńskiej nie piętnowały bynajmniej wyznania lub pochodzenia, lecz raczej lizusostwo, szpiegostwo, skąpstwo, nieużytość i t. p. Dziś, spoglądając wstecz na ławy szkolne i uniwersyteckie, widzę jasno, że młode umysły i serca w sądzeniu wypadków, ludzi starszych lub kolegów mogą nieraz błądzić, ale są szczersze, bezinteresowniejsze i szlachetniejsze, niż w dojrzałym wieku. Skrzywdzą nieraz boleśnie i niezasłużenie, ale bez wyrachowania złośliwego i bez rozmysłu zgóry powziętego.

Nie mogę jednak powiedzieć, aby za moich czasów w Kielcach istniał zorganizowany system szpiegostwa i donosów. Władza szkolna sama od siebie prowadziła kontrolę i nadzór nad czynnościami i postępowaniem uczniów, nie wciągając tych ostatnich do swoich robót, a jeśli niekiedy to czyniła, to przygodnie i sporadycznie. Karano wprawdzie w rozmaity sposób tych, którzy schwytani na jakiemś przestępstwie nie chcieli wydać współwinowajców, lecz na tem ograniczała się cała akcja władzy. Z drugiej zaś strony poczucie solidarności koleżeńskiej ostro piętnowało każdego, kto się zdrady lub szpiegostwa dopuścił. Władza o tem wiedziała i nieraz w duchu uszanować musiała „zatwardziałość“ danego osobnika. O duchu koleżeństwa ówczesnej młodzieży niech świadczą następujące dwa zdarzenia.

Kilku starszych uczniów piątej i szóstej klasy wybrało się na tak zwane wagusy lub wagary *). Ulubionem

*) Od łacińskiego vagus, vagari = błędny, błąkający się, — błądzić, błąkać się.

miejscem wagarów była zazwyczaj pobliska Kadzielnia lub Karczówka. Tam najczęściej policja szkolna łowiła wagantów. Nasi jednak majówkowicze, chcąc omylić czujność i w spokoju zażywać swobody, wybrali się na lesistą górę zwaną Telegrafem i tam z paroma flaszkami wódki, zapasem bułek, serdelków i tytoniu przepędzili dzień cały na grze w karty. Wracając, postanowili iść nie całą bandą, lecz pojedyńczo i różnemi ścieżkami. Cała ta wycieczka przeszłaby zupełnie niepostrzeżenie, gdyby nie okoliczność, że zaraz po rozejściu się uczniów wynikł pożar na skraju lasu, który wprawdzie ugaszono wkrótce, ale który także stał się przedmiotem urzędowego raportu, jaki wójt gminy złożyć musiał o tym wypadku naczelnikowi powiatu. Między innemi donosił on, że tego dnia przez kilka godzin zabawiały się tam uczniaki grą w karty, pijatyką i paleniem tytoniu, oni więc prawdopodobnie ogień w suchym lesie zapuścili. Naczelnik powiatu, którym był podówczas znany ze zbioru obrazów Zieliński, zakomunikował, rzecz prosta, te szczegóły zwierzchności szkolnej, która rozpoczęła śledztwo, a rozpoczęła je od badania wszystkich podówczas nieobecnych w szkole. Prawie wszyscy zdołali usprawiedliwić swą nieobecność, nawet i uczestnicy wycieczki zapomocą różnych wykrętów — jeden wszakże zaplątał się w zeznaniach tak, że wkońcu przyznał się do wszystkiego. Naówczas władza zażądała od niego wydania wspólników, lecz napotkała na tak stanowczy opór, że go złamać nie mogły ani plagi, któremi go hojnie obdzielono, ani groźba wydalenia ze szkoły, która wkrótce miała się też naprawdę ziścić. W takiem położeniu rzeczy pozostali niewykryci uczestnicy wagarów, widząc charakter swego kolegi i czując krzywdę, jakaby mu z ich milczenia wyrządzoną była przez wydalenie — zgłosili się dobrowolnie po karę. Zdarzenie to, które zaszło przed naszem wstąpieniem do szkoły, miało, według innej wersji, takie zakończenie. Gdy miała zapaść decyzja rady szkolnej co do wydalenia, profesor jęz. rosyjskiego, ulubieniec wszystkich uczniów, odwołał się do klasy V i VI z następującą mniej więcej przemową: „Wasz kolega przyznał się do wszystkiego, lecz mimo otrzymanych plag, żadnego z towarzyszy nie wydał, co mu pewnie pochwalicie. Dziś grozi mu wydalenie — teraz więc kolej na współwinowajców, by mu zginąć nie dali. On spełnił swoją powinność względem was, spełnijcie i wy swoją względem niego. Zatem pytam was krótko: Kto?“ Na to podniosło się z ławki



TOMASZ RUŚKIEWICZ
(Do art. „Dziesięciolecie")



JAN ZYDLER
(Do str. 84)



ANDRZEJ ŚWIĘTOCHOWSKI
(Autor pamiętnika, ob. str. 5)



KAZIMIERZ GLINKA-JANCZEWSKI
(Do str. 88)

dwóch czy trzech i w ten sposób całą przygodę odpowiednio załatwiono.

Innym razem schwytano całą paczkę na ponczu i grze w bilard u Jeklowej. Jak się później okazało, donosicielem dobrowolnym dla zyskania sobie przychylności władzy, był niejaki M. Winni zostali ukarani, Jeklowej o mało zakładu nie zamknięto. Cała szkoła zawrzała oburzeniem przeciw M. i tak go raz pytą z ręcznika obito, że siedzieć nie mógł. Podobno się skarżył przed prefektem Brudzyńskim i nawet wymieniał nazwiska swych ciemiężycieli — lecz to żadnych skutków nie miało.

*
* *

Rzecz dziwna, jak ówczesne władze administracyjne i szkolne dokładały starań, aby żadna z książek, które przez cenzurę nie przeszły, nie dostała się w ręce ogółu i młodzieży. Za posiadanie takich książek była niemal taka sama odpowiedzialność, jak dziś za szerzenie broszur socjalistycznych. Teraz pod tym względem daleko jest swobodniej i drukowane słowo ma dziś tyle wolności ile wówczas mówione. Rozumie się, że w owych czasach nie było jeszcze anarchizmu i socjalizmu — zakazanemi więc książkami być mogły tylko dzieła literackie lub historyczne, pisane nie w duchu lojalnej cenzury warszawskiej, lecz w duchu patrjotycznym. O historji i literaturze polskiej wiedzieliśmy bardzo mało i jeśli kto z domowej edukacji nie przyniósł z sobą pewnych wiadomości, to ich w szkole nie nabył. Z opowiadania tylko dowiadywaliśmy się o Kazimierzu Wielkim, o Barbarze, Batorym, Sobieskim, Sasach, Kościuszce, Poniatowskim — a z wypisów Łyszkowskiego o Krasickim, Trembeckim, Polu, Morawskim i t. p. Kto kiedy żył, czem był, co i jak działał nie wiedzieliśmy nic zgoła. Nic więc dziwnego, że potajemnie chwytało się wszystko to, czego jawnie mieć nie było można. „Wieczory pod lipą" Siemieńskiego, tegoż „Wieczory w Ojcowie", „Dziennik podróży" Kopcia i kilka innych książek kursowało z rąk do rąk pod pieczęcią tajemnicy — a Mickiewicza ballady i wiersze ulotne przepisywało się z innego jakiegoś rękopismu, który ktoś, kiedyś, skądciś przywiózł. Śmielsi czytywali „pod ławką" Kraszewskiego, Kaczkowskiego lub tłumaczenia Suego, Balzaca i innych pisarzy francuskich. O Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim urzędowo nie wiedzieliśmy nic — ze słyszenia tylko dowiadywaliśmy się o jakimś „Panu Tadeuszu"

o jakichś „Dziadach", o „Trenach" Kochanowskiego i t. p. Czytanie wszelkich powieści było zabronione pod groźbą kozy lub plag i konfiskaty książek. Tą drogą skonfiskowano „Rycerza Lizdejkę", „Pojatę", „Zamek Kaniowski", „Listopad" i mnóstwo innych, całkiem niewinnych dzieł które kształciły umysł i rozwijały wyobraźnię lepiej, niż cały systemat szkolny. Nawet powieści wizytatora Korzeniowskiego nie było wolno czytać; mówiono krótko: szkoła jest do nauki a nie od zabawy, jak ją skończysz, to się będziesz powieściami bawił. Robinson był za to w opiece władzy; z niego to w wyższych klasach tłomaczyliśmy całe ustępy na język rosyjski pod kierunkiem prof. Jezierskiego, który w 5 i 6 klasie czytał i objaśniał powieści Lermontowa i Hohola.

W takim stanie rzeczy nie dziwota, że młodzież czas wolny spędzała bezmyślnie na różnych łobuzerkach, grze w karty i bilard. Gra w piłkę i ślizgawka były rozrywkami dozwolonemi i koniecznemi dla zdrowia. Do tych osobników, którzy najwięcej czytywali, należał Dygas i Kliszewski Ignacy, oni też najczęściej bywali chwytani na gorącym uczynku i najczęściej podlegali konfiskacie książek. Dygasa szczególnie pilnowano. Raz w 5 klasie w ćwiczeniu polskiem na zadany temat użył on wyrażenia, że „oświata jest alfą i omegą ludzkości". Ten zwrot tak niezwykły w pojęciu lichego profesora Duchnowskiego i tak odbiegający od szablonu ówczesnego, dał dużo wszystkim do myślenia. Myślano, myślano i postanowiono wreszcie zrobić rewizję na stancji. Jakoż znaleziono kilka książek, które za nieprawomyślne uznano i skonfiskowano.

Czy w innych szkołach istniały wówczas podobne stosunki, nie wiem, ale przypuszczam, że system taki był powszechny, jego zaś stosowanie zależało od jakości zwierzchników. Jedni z nich więcej mieli humanizmu, inni mniej, inni wreszcie byli biernie posłuszni przepisom, stawszy się nie wychowawcami, ale prostymi urzędnikami. Rutyna panowała niepodzielnie, a jeśli kto z mianowanych świeżo profesorów chciał wnieść z sobą nieco nowych poglądów na naukę i wychowanie, jeśli odstrychnął się od szablonu, — uważany był za niebezpiecznego nowatora i farmazona. Bano się go i omijano starannie.

* * *

Do bardzo rzadkich rozrywek należał teatr, grywany w niedużej sali zajazdu Lardellego. Trupa Pfeiffra zjeż-

dżała niekiedy na kilka tygodni, grywała „Karpackich Górali”, „Młyn Djabelski” i inne ówcześnie modne sztuki. By dostać się uczniowi do teatru trzeba było wielu uprzednich korowodów. Najpierw zwierzchność szkolna musiała ocenić, czy sztuka jest dla młodzieży odpowiednia, następnie trzeba było posiadać zaświadczenie od utrzymującego stancję, że kandydat włada odpowiednią ilością monety. Nie powiem, by ta rozrywka dodatnio wpływała na młodzież. Starsi biegali za aktorkami, młodsi im zazdrościli — a jedni i drudzy ciągle teatr mieli na ustach: w domu, w szkole, na pauzie, między lekcjami i podczas lekcyj. Nauka schodziła na plan dalszy. Było to w całem tego słowa znaczeniu wykolejenie. Trzeba przytem pamiętać, że ówczesne Kielce miały zaledwie 5.000 mieszkańców — o każdym więc kroku aktorek, i o tych co się do nich umizgali, lub za niemi biegali, wiedziało wkrótce całe miasto, a więc i zwierzchność szkolna. Wynikały też stąd nieraz dotkliwe następstwa.

Innym rodzajem niemniej rzadkiej, bo raz tylko do roku zdarzającej się rozrywki, były „pomiary” i ekskursje. Klasy piąta i szósta, a niekiedy i czwarta miały sobie po jednym dniu w końcu roku szkolnego wyznaczonym na odbycie wycieczki poza miasto w celach botanicznych lub geodetycznych. Dzień był zgóry oznaczony — i jeśli nie był pogodny, wycieczka i rozrywka przepadały niepowrotnie. O godzinie 8 rano był termin na punkcie zbornym; każdy wówczas stawiał się punktualnie, zaopatrzony w bułki i serdelki i w kilka groszy na mleko, — niektóry mieli z sobą i wódkę słodką, albo piwo. Pod wodzą danego profesora i bedela, udawała się dana klasa do wyznaczonej zgóry miejscowości, mając przytem niekiedy i furmankę lub wynajętego tragarza do niesienia przyrządów i wiktuałów. Okolica Kielc przedstawia dla geologa, mineraloga i botanika obfite pole do badania i nauki; myśmy jednak nie mieli wielkiej do tego wszystkiego ochoty, co było może winą samych nauczycieli, którzy zainteresować nas i porwać za sobą nie umieli. Więcej sympatji posiadały „pomiary” prowadzone za moich czasów przez prof. Wermińskiego. Raz tylko byłem na takiej wycieczce w Kostomłotach; została mi ona w żywem i przyjemnem wspomnieniu. Wyszliśmy wczesnym a bardzo pięknym porankiem, mając ze sobą, prócz zapasów żywności, stolik trójnożny z naklejonym brystolem, łańcuchy, kątomiar, libellę etc. Śmiechy, śpiewy, wrzawa rozlegały się dokoła, koncepty sypały się jak z rękawa, czuć było swobodę jakby po wydo-

byciu się z ciężkiego więzienia. Zacny Wermiński rozumiał to dobrze, nie krępował nikogo, ale też nawzajem i my nie pozwoliliśmy sobie na taki żart lub czyn, któryby był niegodny jego ufności i dobroci. Początek jednak tej wycieczki zaznaczył się dla nas sromotną konfuzją. Na połowie mniej więcej drogi do Kostomłotów dojrzeliśmy przy okopywaniu kartofli chłopa i babę doskakujących do siebie z pięściami i wymyślających sobie, jak się patrzy. Wkrótce chłop chwycił babę za kark, przewrócił na ziemię i jął ją okładać kułakami, co się zmieści. Baba krzyczała w niebogłosy: „o ludzie! ratujcie! o Jezu!” Obudziła się w starszych rycerskość i kilku z nich pobiegło ku miejscu walki w obronie uciśnionej płci słabej; za nimi sypnęła się cała chmara młodszych — a za tymi bedel. Chłop widząc, co się święci, puścił babę i rejterował zwolna; baba leżąc na ziemi nie zorjentowała się zrazu, co przeszkodziło chłopu tłuc ją dalej, — dopiero podniósłszy się i zrozumiawszy o co chodzi, jak nie złapie w garść bryły stwardniałej ziemi, jak nie puści w uczniaków jednej i drugiej, jak nie zacznie krzyczeć na całe gardło: „a do ksiąski próźnioki, mliko mają pod nosem a jus im się chce do baby, a wy śpicoki! z praśportem chodzą w portkach a chce im się chłopa tarmosić — to cóś, ze bije? — bije, bo mo prawo, kiej je mój mąs. Do ksiąski spicoki, do ksiąski.” Jak niepyszni wracaliśmy przez zagony ku naszej drodze, na której oczekiwał nas Wermiński, śmiejąc się do rozpuku. Dalszy ciąg tej ekskursji zszedł już normalnie i bardzo przyjemnie: tylko pod koniec koleżka Jokiel upił się likierem wykradzionym matce i pozwalał sobie na zbytnią poufałość z profesorem, śpiewając mu: „miłość jestto głęboki rów, kto w niego wpadnie, to bywaj zdrów”. A ponieważ było to w epoce, w której Wermiński starał się o jakąś pannę poza Kielcami, przeto starsi, widząc w tem niesmaczny przytyk, złapali Jokla za kark i już go ze swych rąk nie wypuścili. Ekskursje botaniczne, mineralogiczne i geologiczne, a także metalurgiczne odbywały się do lasu na „Telegraf”, do „Kadzielni”, do Miedzianej góry, do Białogona, do Dymin, do Sukowa i t. p. W r. 1861, ostatnim mego pobytu w Kielcach, odbyła się wycieczka, górnicza na wozach, do odległej o 19 mil Dąbrowy Górniczej. Trwała dni sześć, lecz niestety nie mogłem w niej uczestniczyć dla braku pieniędzy na składkę, która, jeśli dobrze pamiętam, wynosiła po 50 złp. od osoby. Wiem tylko, że była zajmująca i poważna, bo poważny był wówczas cały naród.

*

* *

Do skreślonej w „Wędrowcu" przez Dygasińskiego charakterystyki szkoły i osób daję niektóre uzupełnienia, a po części i sprostowania.

Dyrektorem szkoły był Formiński Antoni. Był to wysoki, chudy i kościsty mężczyzna, lat koło 60 — zwany pospolicie Żyrafą. Z wykształcenia matematyk, z temperamentu śledziennik, służbista wielki, baczący zawsze na przepisane formy i na legalność. Duch rządów mikołajewskich znalazł w całej jego wewnętrznej istocie należyty przybytek — w tym też duchu sterował on szkołą bez zarzutu. Rygor, porządek, punktualność, posłuszeństwo przepisom i władzy, uszanowanie dla starszych rangą, przestrzeganie form, sumienność w spełnianiu obowiązków, pojmowanych w tym duchu, oto były zasady, których sam się trzymał i które wszczepiał wszystkim od siebie zależnym, tak uczniom, jak i nauczycielom. Mundur na wszystkie guziki zapięty, głowa krótko ostrzyżona, kołnierzyk od koszuli starannie pod kołnierzem mundurowym ukryty, ukłon na ulicy oddawany profesorom i wyższym wojskowym przy jednoczesnem spuszczaniu płaszcza z prawego ramienia i różne inne formy zewnętrzne były ciągłym przedmiotem troskliwości dyrektora. Zdarzało się nieraz, że zawołany golibroda obcinał w gmachu szkolnym zbyt długie włosy opornym, albo, że za niezapięcie munduru, za wypuszczony biały kołnierzyk lub za brak guzika odsiadywało się kozę. „Schowaj, fąflu, tę ścierkę" mawiał zwykle, a tą ścierką był biały, jak śnieg, kołnierzyk. W klasie VI byłem przez rok cały prymusem. W pierwszy dzień Zielonych świątek, nie chcąc się spóźnić do kościoła i przybyć przed czytaniem listy obecności, biegłem, co tchu starczyło i nie zauważyłem, że na schodach wiodących do kancelarji stał Formiński: „Wróć się" krzyknął nagle. Zmartwiałem. „Ktoś ty?" (miał wzrok bardzo krótki). Powiedziałem mu swoje nazwisko. „Aha! toś ty prymus z VI klasy — zostaniesz po kościole na pół dnia w klasie, żebyś na drugi raz pamiętał, że prymus powinien dawać drugim przykład uszanowania dla zwierzchników — a tyś nawet czapki nie zdjął przedemną". I bez żadnego tłomaczenia przesiedziałem 4 godziny w zamkniętej klasie. Nikt z nas nie widział nigdy uśmiechu na obliczu Żyrafy. Jakiś smutek tragiczny wiał z całej jego postaci, jakiś żal do świata i ludzi wyzierał z jego oczu, jakaś zawziętość widniała w jego zaciśniętych wargach. Ponurością swoją odpychał, nieugiętością bezwzględną budził lęk powszechny. Opowiadano, że przed laty jakiś starszy i przystojny chłopiec z VI klasy

zbałamucił mu żonę i to zdarzenie wpłynęło tak silnie na dalszy jego żywot, że zerwał z ludźmi wszelkie stosunki i zapadł w pomrokę wstydu, bólu i hańby. Skończył podobno w obłąkauiu, do czego przyczyniła się niewątpliwie i kocia muzyka, jaką mu najniesłuszniej w 1861 r. urządzono.

Pomocnikiem Formińskiego, tak zwanym Inspektorem, był Filanowicz Pallady, osobistość nieciekawa i nielubiana, unita. Nie wykładał żadnego przedmiotu, ale zastępował każdego nieobecnego profesora, jedynie dla utrzymania porządku w klasie. On najczęściej rewidował stancje, ścigał wagarzystów, sprawdzał choroby uczniów, śledził palaczy i grających w karty, włóczył się bez ustanku po korytarzach szkolnych i czyhał, gdzieby kogo mógł złapać na jakim złym uczynku. Nadewszystko był łakomy na uczniowską skórę. Wpadał w zły humor i tracił apetyt, jeśli mu przeszedł dzień jaki bez możności zaaplikowania choćby trzech rózeg. Cierpiał też męki Tantala podczas wakacyj. Opowiadano o nim charakterystyczną anegdotę, że gdy raz w czasie wakacyj przyniósł chłop jakiś na sprzedaż pęk mioteł, które mu się nie podobały, kupił je i dobrze nawet zapłacił, ale kazał chłopa bedelowi Skrzypczyńskiemu rozciągnąć i wsypał mu kilkanaście rózeg. Szczególniejszą miał uciechę przy końcu miesiąca, gdy ciało nauczycielskie zdecydowało na sesji, kto ma plagi otrzymać za lenistwo, lub złe sprawowanie. Wówczas z ciemnej komórki rozlegały się przez czas długi jęki, płacze i prośby karanych malców. Jeśli delikwentów była spora liczba, nie załatwiał się ze wszystkiemi odrazu, lecz, jako przezorny gospodarz, rozkładał sobie tę dziką przyjemność na dni kilka.

Istniał w Kielcach, a prawdopodobnie i gdzieindziej, zwyczaj, że jeśli władza lub ktokolwiekbądź miał interes do ucznia podczas lekcji profesora, naówczas bedel pukał do drzwi właściwej klasy, a prymus drzwi uchylał i usłyszane nazwisko ucznia wywoływał. Nazywało się to wypukiwaniem. Mówiło się zwykle: wypukano dziś tego a tego. Otóż wypukiwanie w ostatnich dniach miesiąca nic dobrego dla wypukiwanych nie wróżyło, bo napewno chodziło albo o skórę uczniowską, albo o kozę. Zdarzało się jednak czasami, że wypukiwania nie było, bo nie było materjału do niego. Filanowicz, zwany poprostu Filonem, chodził wtenczas, jak struty. By sobie taki zawód wynagrodzić, brał się na różne sposoby. Wypukiwał z klasy jakiegoś średniej pilności potulnego uczniaka i nie dając

mu żadnych racyj, ani nie mówiąc, za co jest karany, kropił mu 3 lub 5 plag. Niekiedy jednak trafiał na rezolutnego. — „Za co? Panie Inspektorze!” — „Nie pytaj się, smarkaczu, tylko się kładź!” — „Ale ja nic złego nie zrobiłem, panie Inspektorze!” „Ty, smarkaczu palisz fajkę!” — „Jak Bozię kocham, nie palę, — ja pójdę do p. dyrektora!” — Na takie dictum Filon miękł odrazu, bo się bał służbistego, ale sprawiedliwego Żyrafy. „No! ruszaj do klasy, ale przyjdziesz ty jeszcze do mnie na porcję soczku brzozowego”. — Miał on syna Józefa, — urwisa, lenia i amatora wagarów; synek nie przepadał za swoim ojcem, bo dobre baty nieraz brał od niego. Zdarzyło się raz, że Józek z paru kolegami poszedł na wagary na Kadzielnię. Rozbiegły się chłopaki po całem wzgórzu, a tymczasem Filon ze Skrzypczyńskim skradali się chyłkiem od Pakosza (młyn), by tamtym zajść znienacka. Dostrzegł to Józef i począł wrzeszczeć na cały głos: „uciekajcie, uciekajcie!” bo stary Filon idzie”. Za tego „starego Filona” dostał Józek od ojca takie urzędowe wnyki, że parę dni w łóżku przeleżeć musiał, aż podobno ktoś z profesorów wypowiedział do oczu staremu tę jego zawziętość i bezlitosność. Wogóle nie miał miru u nikogo; młodsi bali się go, jak ognia, starsi kpili sobie z niego, profesorowie go lekceważyli.

Wielce poważną osobistością był X. prefekt Franciszek Brudziński, późniejszy prałat Kapituły Kieleckiej. Nie powiem, by był lubiany wówczas, ale bano się go i szanowano. Młode serca lgną bardzo do tych, co je pociągnąć zdołają ku sobie i natchnąć zaufaniem i życzliwością. Tego lepu, tej serdeczności i zaufania nie miał w sobie X. prefekt. Ascetyczny, wysoki, chudy, rzadko kiedy uśmiechnięty, pozbawiony był tej dobrotliwości kapłana, co to w sercu chowa chrystusową wyrozumiałość na błędy i słabości ludzkie. Niktby się też nie udał do niego w swojem strapieniu o radę i pomoc. Posądzano go o nieszczerość i obłudę. Przyznać jednak trzeba, że był gorliwym kapłanem, sumiennym nauczycielem i bardzo pracowitym. Nauki niedzielne, wygłaszane w szkolnym i seminaryjskim kościołku Św. Trójcy, były zawsze pisane i należycie obrabiane; to samo powiedzieć należy o naukach podczas rekolekcyj wielkanocnych. W dalszym ciągu swego żywota X. Brudzyński był zawsze jednakowy; — szanowało go też duchowieństwo, szanowała i społeczność świecka, dla jego cnót licznych, dla jego prawości, miłosiernego serca, ascetycznego życia i dla tego, że nigdy nie paktował z wrogiemi kościołowi siłami i że zawsze stał

mocno przy zasadach, jakiemi się rządzi kościół katolicki. Był to raczej przewodnik, w swym zakresie, ludzi starszych, aniżeli wychowawca młodzieży. — X. Br. nie miał przezwiska.

Najbardziej kochano i szanowano profesora jęz. rosyjskiego, Ignacego Jezierskiego, zwanego krótko Jegrem. Był to prawdziwy pedagog Dei gratia. Niski, krępy, ale nie tłusty, miał spojrzenie poważne, ale przenikliwe i bystre, w całej postawie spokój i pewność siebie, w ustach i uśmiechu dobroć. Uczniów nie traktował szablonowo, ale różniczkował ich zdolności, usposobienia, wiek i temperamenty. Dobrego ucznia nie psuł pochwałami, średniego zachęcał, złego chciał poprawić. Nigdy nie zwracał uwagi na przygodne wyuczenie się lekcyj, ale wciąż pytał całą klasę na wyrywki. Na jego godzinach nie można było drzemać albo nie uważać; tak umiał zająć wszystkich i tak ich utrzymać w napięciu, że się nawet tego wytężenia nie czuło. Nigdy uczniom nie wymyślał i co najwyżej używał wyrazu „próżniak" (lientiaj). Wykład prowadził w jęz. rosyjskim — jednak w chwilach uroczystszych, żeby lepiej być zrozumianym, zwracał się niekiedy do uczniów po polsku. Na jego lekcji było cicho, jak makiem zasiał; — mówił wolno, z precyzją, spokojnie, głosu nie podnosząc, ani się nie unosząc. Nie nadużywał nigdy gróźb, ani kar, bo wiedział, że jeśli co komu zapowie lub przyrzeknie, to będzie musiał dotrzymać tego ze względów wychowawczych i dla utrzymania powagi własnej. Niezmiernie rzadki to był wypadek, jeśli Jegier zapisał do dziennika którego ucznia za lenistwo lub jakie przewinienia; unikał tego nietyle z powodu, że ucznia spotkałaby doraźna kara, ile raczej ze względu, że oprócz tej kary, stosownie do utartego zwyczaju, psuto jeszcze karanemu osobnikowi stopień ze sprawowania. Mówił raz na sesji: — „Obiliście go — i koniec, pocóż mu psuć inne stopnie w cenzurze". Natomiast używał podręcznej kary w klasie, a była nią, albo linja, albo klęczenie. Linją karał niepoprawnych leniuchów i mówił krótko: „liewuju", poczem następował silny trzask. Klęczenie stosował do tych, co się ciągle kręcili w ławce i drugim przeszkadzali. Miał ogólną opinję sprawiedliwego i wyrozumiałego, nie znosił kłamstwa i skarżycieli. Niekiedy dwom uczniom, którzy jednakowo umieli lekcję, stawiał stopnie odmienne — i mawiał: „Tyś zdolniejszy i masz korepetytora, toś powinien lepiej umieć i dlatego masz trójkę — on zaś jest mniej zdolny, ale za to pracowity i uczy się sam — więc dostanie czwórkę".

Wszyscy uznawali, że Jegier ma rację. Nie stawiał prawie nigdy piątek i jednostek, chyba że dany osobnik był zdecydowanym orłem lub osłem. W sprawie jakichś zatargów między uczniami i władzą wpływ i znaczenie Jegra ujawniały się z całą siłą. Czego władza nie osiągała kozą lub rózgą, on otrzymywał to prostem ale jędrnem przemówieniem, skierowanem umiejętnie do młodzieży, której duszę znał. Miał wzrok tak przenikliwy, sięgający aż do mózgu, że kiedy pytał o co, patrząc w oczy, nikomu na myśl nie przyszło, skłamać przed nim. Był bardzo ostrożny w wydawaniu sądu potępiającego, gotów w razach wątpliwych raczej uwolnić prawdopodobnego winowajcę, niż skazać i skrzywdzić niewinnego. Raz w którejś klasie zaczęły ginąć uczniom scyzoryki, pióra, ołówki, gumy i t. p. Były skargi do Filona i do prefekta; pilnowano się, śledzono, radzono — wszystko napróżno; złodzieja nie wykryto i kradzieże trwały dalej. Wreszcie powzięto podejrzenie na jednego z biedniejszych i pośledniejszych uczniów. Był to syn jakiegoś mieszczanina, chłopiec do nauki tępy, do figlów skory i często za nie karcony. Miano go wziąć do kancelarji i tam pod rózgą zmusić do wyznania prawdy. Gdy się o tem Jegier dowiedział, nie czekając na egzekucję, przywołał malca do siebie do domu i miał z nim dłuższą rozmowę. Jakie tam były pytania i jakie odpowiedzi — nietrudno było się domyślić, gdyż zacny pedagog był nadto i biegłym psychologiem i wybornym obserwatorem. Doszedł wówczas do stanowczego przekonania, że ma do czynienia z chłopcem niewinnie posądzonym i tyle dokazał, że zamierzonego a bardzo dotkliwego badania na razie zaniechano. Wkrótce wykryło się, że złodziejem był kto inny. Na wybryki niewinne, nieszkodliwe, i nie cechujące złego serca Jegier patrzył pobłażliwie. W czwartej klasie wśród moich kolegów był niejaki Zanowski; chłopiec dobry, powszechnie lubiany, ale łobuz i nygus. Raz podczas lekcji Jegier był wywołany przez dyrektora Formińskiego i wychodząc zalecił nam zachowywać się spokojnie. Ledwie się drzwi zamknęły, Zanowski wskoczył na katedrę, włożył na głowę cylinder Jegra, który mu aż na nos spadał, owinął szalikiem jedwabnym szyję, wziął laskę ze srebrną gałką do ręki i udając ruchy i postawę Jegra począł z powagą maszerować po klasie, wśród naszego śmiechu i wrzasku. Nagle otwierają się drzwi, w progu staje Jegier, klasa milknie, a Zanowski martwieje. Zbaraniał tak, że Jegier zdjął mu cylinder, odebrał laskę, odwinął szalik, a on stał, jak Lotowa żona, bez ruchu i mo-

wy. Myślicie, że były jakiekolwiek następstwa tego wybryku, że go kozą ukarano, rózgami obito, lub sprawowanie mu popsuto? Wcale nie! — Jegier spojrzał tylko swoim wzrokiem na zmartwiałego Zanowskiego i powiedział spokojnie: „na miesto!” — Kiedy w 1861 r. wszczęły się pewne nieporządki w szkole, łatwe zresztą do zrozumienia, — Jezierski był jedynym, który taktem, stosowną przemową, serdecznością i życzliwością zdołał utrzymać młodzież w spokoju i posłuszeństwie. Prócz tych wszystkich przymiotów miał jeszcze i ten, że gniewał się bardzo rzadko, ale gniew jego wówczas miał w sobie coś potężnego i groźnego: w głosie, w oku, w wyrazie twarzy, w postawie całej; jednakże wtedy drżeli wszyscy — w drugiej czy w szóstej klasie. Pochodziło to stąd, że gniewu swego nie pospolitował codziennem ględzeniem, ani go nie obniżał brutalnemi przezwiskami lub wymyślaniami, ani go wreszcie nie objawiał bez bardzo ważnego powodu. Uczył wybornie i na wszystkie sposoby: dyktando, opowiadania ustne, ćwiczenia piśmienne, tłomaczenia z polskiego na rosyjski i odwrotnie, gramatyka w porównaniu z polską, wiersze różne na pamięć, historja literatury w skróconym zarysie. Dbał bardzo o czystość wymowy rosyjskiej, o akcent prawidłowy i ortografję. W klasie 3 i 4 pisaliśmy prawie bez błędów ortograficznych i prawie wszystko rozumieliśmy doskonale. Czem się to działo? chyba wyłącznie umiejętnością profesora z jednej, a ogólną naszą sympatją do niego z drugiej strony.

Po powstaniu przeniesiono Jezierskiego na stanowisko dyrektora gimnazjum do Płocka i tam, niestety, zadał kłam całemu dotychczasowemu swemu życiu i zasadom pedagogicznym, stawszy się powolnem narzędziem rusyfikatorskiem. Wierzyć się nie chciało, że ten ukochany przewodnik młodzieży, ten wyborny i wypróbowany pedagog mógł być zdolny do tak szybkiego przerzucenia płaszcza z jednego ramienia na drugie. Umarł ponury w zapomnieniu, ledwie że nie w ogólnej pogardzie. Był bratem literata i filozofa Feliksa Jezierskiego, żył w stanie bezżennym.

Obok ulubieńca wszystkich, Jezierskiego, który uczył jęz. rosyjskiego, postawić należy dla kontrastu znienawidzonego Rajmunda Duchnowskiego, który nam wykładał naukę jęz. polskiego. Nazywano go zwykle „Chińczykiem” lub „Chińcem”, — dlaczego — nie wiem. W mowie mazurzył nieco i seplenił. Skoro sobie uprzytomnię, w jaki sposób ten człowiek uczył nas ojczystego języka i literatury, to mię dziś jeszcze przepełnia oburzenie i zgro-

za. Gramatyki uczył z Teodozego Sierocińskiego na pamięć: „stąd — dotąd” — stylistykę dyktował z jakiejś książki, historji literatury nie wykładał wcale. Nigdy nic nie objaśniał, do pytań nie dopuszczał, arcydzieł literatury polskiej nam nie czytał. Uczyliśmy się za to na pamięć wszystkich wierszy, jakie były w wypisach Łyszkowskiego. Na popis doroczny wybierał zwykle ucznia, choćby pośledniejszego, lecz z gładką wymową i temu zadawał oddzielnie deklamację z pozawypisowych książek, jak np. Pola: Przygody Bened. Wiznickiego, albo coś z Jaśkowskiego, Syrokomli lub Hołowińskiego — ale o tem inni uczniowie dopiero na popisie dowiadywali się z deklamacji. Przy szkole Kieleckiej była dość zasobna biblioteka, nad którą nadzór miał Duchnowski. Były tam książki naukowe, historyczne, beletrystyczne — stare i nowe, rosyjskie, francuskie, niemieckie — ale przeważnie polskie. Nikt stamtąd żadnej książki do czytania nie dostał od Chińca — chyba rosyjskiego na żądanie Jezierskiego, jak np. Chmielnickiego, Dzierżawina, Kryłowa lub Puszkina. Lichy profesor był lichszym jeszcze pedagogiem i człowiekiem. Mściwy, zawistny, chytry na grosz, intrygant, schlebiający władzy — a pozornie nabożny, spełniający praktyki religijne bigot. Nie cierpiano go, lecz go się bano, bo był nieubłagany, a na sesjach miał głos poważny. Trzymał na stancji dość licznych uczniów z zamożniejszych domów, których, nawiasem mówiąc, żywił licho. Za mojej korepetytorki w 6-ej klasie stali tam: Bolesław Schmidt z Kielc, Trzebiński z Miławczyc w Miechowskiem, Bracia Rogozińscy i Siedlewski z Opoczyńskiego, bracia Grubińscy z Końskich i paru innych. Kompensacja stopni z innymi profesorami, którzy także trzymali uczniów na stancji, odbywała się głównie dzięki zabiegom Duchnowskiego. Gdy w r. 1861 obudził się w całym kraju ruch narodowy i osłabły nieco więzy karności szkolnej, wymierzono Duchnowskiemu dotkliwą karę. Było to jakoś w końcu maja; reakcja przeciwko dotychczasowemu porządkowi rzeczy kiełkowała już we wszystkich umysłach, podsycana wieściami z Warszawy i miast innych; świadomość narodowa wzrastała i ujawniała się w rozlicznych manifestacjach. Że w Kielcach było u nas spokojnie — to zasługa Jezierskiego, ale i on nie miał możności przeszkodzić wybuchowi nagromadzonych materjałów palnych, które się przeciw Duchnowskiemu obrócić miały. Uradzono w 6-ej klasie, aby każdy zmiął kajet z tak zwaną stylistyką w jedną gałkę i wchodzącemu Chińcowi w twarz ją rzucił. Byłem temu przeciwny, ale niechęć po-

wszechna wybuchła z tak żywiołową siłą, że niebezpiecznie było opierać się dłużej. Stało się więc, że gdy Duchnowski wszedł, jak zwykle, do klasy na lekcję, trzydzieści kajetów zwiniętych w kulę przebiegło izbę z szelestem, padając mu u nóg lub rozbijając się o twarz i ramiona. A jednocześnie cała klasa wyła: „precz, won, innej chcemy nauki, biblioteka!" i t. p. Próbował później wydobyć ze mnie informację, kto to był głównym promotorem tej obelgi — alem mu odrzekł, że koledzy naradzali się bezemnie i powiedzieli mi tylko, że to było jednomyślne postanowienie. Skarżył się Formińskiemu, żądał sądu i satysfakcji, groził odniesieniem się do władz wyższych, wstrzymaniem patentów, wszystko bezzkutecznie! Widocznie zwrócono mu uwagę, że opinja miasta jest przeciw niemu, a przytem nastały takie czasy, iż lepiej wybryk ten puścić w niepamięć. Nie wiem, co się później z nim stało. Podobno przeniósł się do Warszawy i w niej umarł. Był żonaty, bezdzietny. Typowy wstecznik dawnych czasów, przytem nieuk.

Nie mogę pojąć, jakie ówczesne racje stanu nakazały naczelnym władzom zaprowadzić naukę jęz. łacińskiego w naszej szkole realnej, dość że w r. 1857 nauka tego języka rozpoczęta i Duchnowskiemu powierzona została. Nie była ona obowiązkowa i odbywała się w godzinach nadetatowych, lecz kto się zapisał, musiał już sumiennie spełniać swe zadanie. Należałem do rzędu nielicznych amatorów alwara i wcale tego nie żałuję, gdyż Duchnowski nieźle uczył łaciny i położył mi dość gruntowny fundament, na którym wydziałowi filologicznemu Szkoły Głównej łatwiej przyszło kudować gmach, nieobszerny wprawdzie, ale dość mocny, skoro po dziś dzień mogę bez słownika rozumieć Cezara lub Liwjusza.

Języka niemieckiego uczył nas R o b e r t K r o e m e r: skąd przyszedł do nas i skąd pochodził — nie wiem. Po polsku mówił nieźle i wykład swój, marny zresztą, prowadził po polsku. Był wykształcony; znał grecki i łacinę, której nawet razem z Duchnowskim udzielał, — mówił i po francusku. To wszystko naprowadza na domysł, że musiał skończyć szkoły, a może i uniwersytet w Niemczech. Powagi wielkiej nie miał, miłości ani nienawiści nie obudzał,— był bezwyrazowy, nieszkodliwy, raczej życzliwy i dobry. Żył długo, umarł gdzieś na prowincji. Był żonaty i dzietny, uczniów trzymał na stancji — przezwiska nie miał, chyba tylko „niemiec".

Uniwersalnym profesorem „do wszystkiego" był H i p o l i t Ś w i ę c i c k i, — zwany przez nas Kobuzem lub Ko-

baltem. Uczył arytmetyki, geometrji, algebry, technologji, mineralogji, zoologji, botaniki, a nawet kaligrafji, — niczego jednak nie uczył dobrze. Na lekcjach jego panował wieczny szum, hałas, wychodzenie z ławek, czytanie książek, dawanie „syrów”. Na jego ustawiczne: „cii-p” nikt nie zwracał uwagi. Kobuz nie był w stanie nawet pierwszej klasy utrzymać w ładzie i karności, — to też na jego lekcji często otwierały się drzwi i w nich stawał Formiński lub Filanowicz, by uciszyć gwar lub złapać którego na gorącym uczynku. Względem żadnego z profesorów spoufalenie się nie doszło do takich granic, jak względem Święcickiego: poprostu drwiono sobie z niego w oczy. Jeszcze nauka arytmetyki lub algebry szła jako tako, bo ją musiał wykładać lub objaśniać na tablicy — ale mineralogja, zoologja lub technologja były czystą kpiną. Uczyliśmy się tych przedmiotów z kartek, pisanych zwięźle i niewyraźnie przez Kobuza i odpisywanych następnie przez nas w kilkunastu egzemplarzach, z mnóstwem błędów, jakie z powodu nieczytelności pisma z natury rzeczy powstać musiały. Wydawanie lekcyj następowało śród gwaru, który na zamówienie zwiększał się odpowiednio. „Jeśli mię Kobuz wyrwie, to hałasujcie głośniej”. Wówczas rozpoczynało się ogólne mruczenie, jakby cała klasa półgłosem przepowiadała sobie lekcyą — wyrwany zaś do lekcji stawał przy katedrze i w tym pogwarze wyrzucał od czasu do czasu głośno pewne wyrazy, resztę zaś wypełniał także mruczeniem. Np. jeśli to było o garbarstwie, uczeń mniej więcej mówił tak: „Naprzód bierze się skóry surowe... mmm... do kadzi... mmm... wyjmuje się... mmm... nalewa wodą... kory dębowej... trzy doby... znowu się... głębokie doły...” i t. d. Po takiej odpowiedzi, byle szybko wyrecytowanej, uczeń kłaniał się zamaszyście i dążył na swoje miejsce, pewny co najmniej czwórki. Cynizm niektórych dochodził do tego stopnia, że zamiast o farbiarstwie, mówili o tem, jak się robi kawa ze śmietanką, albo zamiast o kwarcu, opowiadali o kałamarzu ze sprężyną. Wszystko to działo się na tle ogólnego hałasu, bez którego lekcyj Święcickiego wyobrazić sobie nie można było; on sam nawet przywykł do niego. Raz postanowiliśmy zachować się na lekcji Kobuza tak, jakby to była godzina Jegra lub prefekta. Wchodząc do klasy zdziwił się naprzód, że wszyscy już siedzieli spokojnie na swoich miejscach, kiedy zazwyczaj sporo czasu upływało, zanim klasa doszła do jakiego takiego porządku. Następnie zastanowiła go absolutna cisza: żaden szmer, ani mruczenie nie dały się słyszeć, chyba brzęczenie muchy.

Nikt wreszcie nie wyrywał się z pytaniami, jakich zawsze pełno było na początku lekcji, w rodzaju np. takich: „z czego się, panie profesorze, robi wanilja?” albo: „skąd poszła nazwa Kadzielni?” Z początku Kobuz spojrzał niespokojnie po klasie, jak gdyby węszył jakiś przeciw sobie spisek — następnie wpatrywał się badawczo w twarze niektórych uczniów, jak gdyby od nich czekał wyjaśnienia — wreszcie nie wytrzymał i spytał ostro: „Co to jest, panie, panie?” — „Co takiego, panie profesorze?” — „No! pytam, co to jest, panie, panie?” — „No, ale co, panie profesorze?” — „Jakaś zmowa, panie, — błazny! smarkacze!” I wpadł w złość istotną — my zaś nie wytrzymaliśmy do końca, gdyż baliśmy się, że przy takiej ciszy z wydawaniem lekcyj nie da się już okpić Kobuza. Wróciło więc dawne mruczenie, a z niem wypogodziło się belferskie oblicze. Był to człowiek z natury łagodny, miękki, dobry — ale lichy nauczyciel — pedagog żaden, — mało inteligentny, choć wykształcony. Córka jego wyszła za wspomnianego wyżej Kroemera. Na stancji trzymał uczniów niewielu — nigdy tam jednak ładu, porządku i nadzoru nie było.

Dobrym człowiekiem, wybornym nauczycielem, choć mniej zdolnym pedagogiem był Feliks Wermiński, przyrodnik, późniejszy profesor Instytutu Politechnicznego w Puławach i autor kilku broszur i dzieł naukowych. Wykładał fizykę i matematykę w klasach wyższych. Lubiano go i szanowano powszechnie — władza ceniła go również. Jeżeli ówczesny istniejący porządek rzeczy przyjmiemy za normę, według której społeczeństwo żyć i rozwijać się miało — to Formiński będzie jego prawowitym przedstawicielem, — po obu zaś krańcach stanie z jednej strony Duchnowski z ujemnym — Jezierski z dodatnim znakiem. Dla Wermińskiego jednak nie było na tym parnasie miejsca: on należał do innego, postępowego obozu, — my zaś nie zdawaliśmy sobie jeszcze dokładnej z tego sprawy: czuliśmy, że jest inny, aleśmy tego nie analizowali; stało się to później dopiero. W obcowaniu z uczniami był nieraz zjadliwy, ironiczny, drwiący; — czem niekiedy odstręczał ich od siebie, — jednocześnie wszakże miał poczucie sprawiedliwości i odwagę cywilną w obronie upośledzonych lub pokrzywdzonych. On też na sesjach należał do liczby tych, którzy swe zdanie wbrew większości śmiało wypowiadali.

Chemję wykładał Rogalewicz Leon (?) począwszy od kl. IV, a niekiedy i fizykę. Rok tylko jeden słuchałem

go — przeniesiony bowiem został do Płocka; był autorem podręcznika chemji, przytem człowiekiem dobrym i łagodnym. Na jego miejsce dostaliśmy Józefa, Bohdana Rogoyskiego w roku, jeśli się nie mylę 1859. Gruntownie w swym fachu wykształcony, świeżo przybyły z zagranicy, podobno nawet z Ameryki — przytem pełen werwy i życia, porwał wszystkich odrazu, tchnął nowego jakiegoś ducha w obumarły świat szkolny, jak gdyby ktoś otworzył nagle lufcik w stęchłym pokoju. Pomimo wielkiej nierówności temperamentu, graniczącej z narwaniem, zdołał sobie zaskarbić ogólną życzliwość i zaufanie. Zdaje się, że Rogoyski, oddany nauce i czas długi przebywający zagranicą, nie znał dobrze zasad ani kierunku ówczesnego wychowania szkolnego, nie wiedział również o istniejących pod tym względem prawach i przepisach, gdyż inaczej nie byłby tak często stawał z władzą w kolizji, o której nas dochodziły słuchy. Być może, iż ta kolizja wypływała niekiedy i z innych przyczyn, gdyż Rogoyski, prócz narwania i gwałtownego temperamentu miał, zdaje się, słabość do kieliszka. Zauważyli to niestety i starsi uczniowie. Pomimo to jednak dziwną jakąś mieliśmy sympatję dla jego prostoty obejścia, rubaszności, prawdomówności i szczerości, nie mówiąc już o tem, że do jego wiedzy przyrodniczej żywiliśmy ufność bez zastrzeżeń. Jego zwroty retoryczne i wyrażenia były nieraz klasyczne, zwięzłe, lapidarne. „Szkoła to nie warsztat, nauczyciel nie majster, a uczeń nie terminator, którego walą pocięglem". „Nauczyciel winien być pedagogiem, a nie urzędnikiem". Próżniaków nazywał złodziejami, co okradają samych siebie. Raz podczas zajęć w laboratorjum chemicznem spostrzegł, że któryś z roślejszych i silniejszych uczniów dobrze wytuzował słabszego. Zgorszył się tem wielce; opowiedział, że zagranicą nigdyby koledzy nie pozwolili silnemu znęcać się nad słabym i zakończył: „Tylko u głupiego siła w pięści". Innym razem żachnął się wielce, że prymus bierze na siebie obowiązek, podczas nieobecności nauczyciela w klasie, kontrolować swych kolegów i niesfornych podawać do kary; a gdy mu oznajmiono, że taki jest porządek i rozkaz władzy, rzekł krótko, jakby do siebie: „świństwo!" Później przeniesiono go gdzieś indziej; podobno się w końcu zmarnował, a umarł, jeśli mię pamięć nie myli, w Łodzi.

Nauczycielem botaniki i zoologji, a także i mechaniki, był Teofil Borzęcki, zwnany zwykle Bistją. Był to już w owych czasach człowiek lat podeszłych, zawsze zgorzkniały, niezadowolony ze świata i siebie, quasi mi-

zantrop. Na uczniów wpływu nie miał, był dla nich nieprzystępny; z kolegami swymi i władzą politykował — miał charakter mściwy. Lekcje jego były bez wyrazu i życia. Miał dość obfity słownik wyrazów obelżywych: bestja (bistja), smarkacz, osieł, gałgan i t. p. Trzymał uczniów na stancji. Używał często w wykładzie zwrotów poetycznych. Np. w zoologji ustęp o ptakach tak się zaczynał: „Jako zwierzęta ssące Bóg przywiązał do ziemi stałej, rybom rozkazał żyć w wodzie, tak ptaki przeznaczone są do lotu w powietrzu". W mechanice zaś tak określał siłę i motor, nie wiem tylko, czy swojemi, czy cudzemi słowami: „Co jest siła? co silnik? co ich razem łączy? Jest to coś, działa jakoś i na tem się kończy". Mówiono o nim, że jest filozofem i człowiekiem wykształconym ogólnie.

Geografji i historji oraz łaciny uczył Kwiryn Przeorski. Oba te przedmioty wykładane były już to po rosyjsku, już też po polsku. Przeorski, zwany zwykle Hebesem, nie cieszył się wielką sympatją u uczniów, był bowiem ostry, popędliwy, często złośliwy, wymyślał od hebesów, wałkoniów, kpów. Uczył jednak dość dobrze, dużo wymagał i wogóle dbał, by się uczono. Geografji uczyliśmy się początkowo z Ansarta, później Hebes dyktował ze swych notatek, wreszcie zaprowadzono wykład po rosyjsku z Obodowskiego. Do historji powszechnej służyła „Kajdanówka" zadawana „stąd — dotąd", lecz zazwyczaj objaśniana przez Przeorskiego. Stopnie stawiał b. trudno; — piątek prawie nie bywało — od pałek i dwójek roiło się zwykle w cenzurach. Ja niewątpliwie byłem wówczas najlepszym uczniem z geografji w całej szkole — a jednak nigdy piątki nie dostałem. Nie brakło jednak na dorocznych egzaminach takich osobników, nawet między lepszymi uczniami, którzy na Kopenhagę mówili, że to żona Batorego, a na Mississippi, że to rodzaj małpy (pomięszanie pojęć z małpą uistiti). Przeorski trzymał uczniów na stancji; po rosyjsku mówił wybornie, gdyż, o ile pamiętam, skończył uniwersytet w Rosji; uważany był ogólnie za człowieka rozumnego i pracowitego. Później miał zakład naukowy w Częstochowie, który, jak słyszałem, nieźle prowadził.

Rysunków i kaligrafji uczyliśmy się od Szymona Górnickiego, zwanego pospolicie Górasem, Gurasem. Nieźle uczył rysunków, sam nieźle rysował i malował. Był zezowaty — ale to nie przeszkadzało, że miał najlepsze serce. Nikomu w drogę nie wszedł i wody nie zamącił; był zawsze cichy, skromny i łagodny. Musiał mu

już który dobrze dokuczyć, jeśli go skrzyczał lub do dziennika zapisał. Lubiliśmy go wszyscy i dlatego na jego lekcjach, mimo pobłażliwości profesora, bywało względnie cicho.

Rok, czy dwa był profesorem nauk przyrodniczych w szkole Kieleckiej Wincenty Kosiński, człowiek zupełnie młody, który świeżo ukończył instytut górniczy w Petersburgu. Był on przyrodnim bratem mego brata stryjecznego Ignacego Świętochowskiego — a później, po opuszczeniu naszej szkoły, zajmował wybitne stanowisko w zachodnim okręgu górniczym i jako geolog położył niemałe zasługi około poznania budowy geologicznej tej części kraju, około osuszenia kopalni olkuskich i około wydania mapy geologicznej. Wiedzę jego fachową wysoko ceniono. Wykładów jego w Kielcach nie słuchałem. Choć uczyłem się bardzo dobrze, to jednak jemu głównie zawdzięczam, że mię w 5 i 6 klasie od wpisu zwolniono. Jeśli już Wermiński nie mógł się dostroić do ówczesnego koncertu muzykantów szkolnych, to cóż dopiero mówić o Kosińskim, który wraz z młodością i świeżemi reminiscencjami murów uniwersyteckich wnosił pojęcia swobody, organicznej a gruntownej pracy i wiedzy, wreszcie pojęcia postępowe co do wychowania młodzieży i kierunku jej nauki. Z tych też powodów miru u tamtoczesnych sfer miarodajnych nie znalazł i zyskał tylko miano zarozumialca i farmazona. Robił częste wycieczki w najbliższą okolicę Kielc, obfitującą zarówno w minerały, jak i okazy rzadkie flory miejscowej. Na te wycieczki brał mnie niekiedy ze sobą i wówczas wracaliśmy z rozlicznemi ziołami, skamieniałościami, owadami i t. p. Raz przyniósł do szkoły jakiś minerał i zapytał Święcickiego, co to takiego? Święcicki, alias Kobuz, obejrzał go, obwąchał, ale coby to być miało, nie umiał powiedzieć, — a to był najzwyczajniejszy konglomerat, czyli zlepieniec. Innym razem schwytał Borzęckiego na gorącym uczynku nieznajomości jakiejś zwykłej rośliny. Z tego powodu bywały osobiste nieporozumienia między nim a kolegami i pobyt Kosińskiego w Kielcach nie musiał mu być przyjemny. Zresztą nie był to pedagog, ale raczej uczony, ścisły w rozumowaniu, konsekwentny i logiczny we wnioskaah. Dla uczniów był nieco wyniosły, zimny i sztywny. Później w dojrzałym wieku spędziłem z nim niejedną przyjemną chwilę w Sławkowie i poznałem ten umysł głęboki, wiedzę wytrawną, pogląd na świat i życie nietuzinkowe. Nienawidził blagi i dlatego nie mógł znieść profesora uniwers. Trejdosiewicza, którego poprostu nazy-

wał nieukiem i dziwił się, jak można było powierzyć mu katedrę.

Profesorów jęz. rosyjskiego Smirnowa i Roszczyna znałem niewiele. Pierwszy był chorowity i umarł za mojego pobytu w szkole; drugi objął po nim wykłady; obaj nie zaznaczyli się niczem osobliwem ani w dodatnim ani w ujemnym kierunku.

Z dozorców szkolnych, czyli bedeli, zwanych także djad'kami, pamiętam Tysa czy Tissa i Skrzypczyńskiego. Każdy z nich był prawą ręką Filanowicza i posłusznym narzędziem władzy; kto jednak był w monetę zasobniejszy, to w razie potrzeby zdołał sobie zabezpieczyć ich milczenie, lub skrócenie kozy, albo wreszcie łagodne w danym razie uderzenie rózgi.

* * *

W marcu 1861 dobiegły do Kielc jakieś wieści o zaburzeniach w Warszawie, o pięciu poległych, o ich pogrzebie, o rozbudzeniu się ducha patrjotycznego. Gazety podawały opisy wypadków, ale obok tego istniała poczta pantoflowa, która uzupełniała, częstokroć z wielką przesadą, to, czego nie pomieściły dzienniki. Władza szkolna czuwała wprawdzie nad porządkiem i karnością, ale znać było, że ta czujność jest nieco wymuszona. Rzecz dziwna, młodzież nasza, dotąd bujna temperamentem, skora do figlów, nierzadko brutalna i krnąbrna, spoważniała nagle pod wpływem wypadków i odrazu dostroiła się do ogólnego tonu. Nie powiem, by ta korzystna zmiana dotyczyła także i samej nauki. Nie! — Politykowaliśmy trochę, czytywaliśmy w domu i w szkole „Gazetę Codzienną", „Kurjera Warszawskiego", „Gazetę Warszawską", opowiadaliśmy sobie wzajem posłyszane nowiny, zaniedbując lekcje. Ale natomiast, co się tyczy usposobienia ogólnego, szkoła inny, niż dawniej, miała wygląd, na lekcjach, na pauzie, między godzinami. Ustały szturchańce i wyładowywanie energji w bijatykach, ustały „sery" i hałasy na wykładach Święcickiego, ustały nawet wagary, choć te dla swobodnej dysputy i czytania gazet powinny były nęcić. Jednocześnie zmniejszyła się liczba karanych kozą lub rózgą, bo delikwentów było coraz mniej, nawet między młodszymi, na których oddziaływało zachowanie się spokojne i poważne piąto i szóstoklasistów. Jakiś duch zgody, dobroci i braterstwa powiał na wszystkich i ujawniła się w młodych

sercach jakaś nieokreślona żądza poświęcenia się i męczeństwa. Odczuwało się to więcej, niż rozumiało.

W takim stanie podniecenia rozjechaliśmy się do domów na święta wielkanocne. Ja z kolegą Michałem Katarzyńskim, przyszłym szwagrem mego brata Tadeusza, udałem się do Miechowa, gdzie brat ten mieszkał. Przez całe święta na świecie panowała pogoda piękna i ciepła, a w duszach nastrój podniosły. Mieszczaństwo Miechowskie, równie jak i włościanie okoliczni świadomi już byli wypadków warszawskich, oraz wzmagającego się ruchu narodowego. Gazety czytywano z zapałem wielkim, a z jeszcze większym różne odezwy, modlitwy, wiersze, karykatury polityczne, broszurki i t. p. utwory „zakazane". Wszyscy mieliśmy oczy zwrócone na Warszawę i stamtąd wyglądaliśmy wieści — to też oblegaliśmy każdego, kto przybywał ze stolicy. Oczywiście, krążyło mnóstwo plotek i niedorzeczności, bowiem każdy przybysz taki, nie chcąc uchodzić za nieświadomego przesadzał w opowiadaniu faktów — upiększał je dla efektu, a często przekręcał je ad usum Delphini, lub wreszcie komponował z własnej imaginacji — czyli łgał poprostu. Wieści podobne, szerzone przez coraz dalsze koła, paczyły fakt istotny i prawdę coraz bardziej, nadając im nieraz kształty potworne.

Naczelnikiem powiatu Miechowskiego był podówczas Piątkowski, późniejszy gubernator Radomski — jego zaś pomocnikiem Januszkiewicz. Syn tego ostatniego, student instytutu Marymonckiego, wraz z Kołdrasińskim, studentem akademji medycznej warszawskiej i Janem Chorążym (bratem Bolesława, późniejszego dyrektora tramwajów warszawskich) przyjechali byli właśnie na święta do Miechowa i przywieźli z sobą wiele szczegółów, dotyczących ostatnich wypadków. Opowiadali więc o pamiętnych dniach 25 i 27 lutego, o pogrzebie pięciu poległych, o sympatycznym udziale żydów w tym pogrzebie, o podniesieniu się ducha patrjotycznego, o różnych konspiracjach, o życiu obecnem studentów i uczniów gimnazjalnych, o tworzeniu się Rządu Narodowego, o deputacjach do namiestnika i Petersburga, słowem mnóstwo wieści, między któremi obok prawdziwych było wiele nieścisłych lub wątpliwych. Ale myśmy wszystkiemu wierzyli i tem podniecali swój zapał i nastrój. Śpiewaliśmy tedy w kościele „Boże, coś Polskę" i „Z dymem pożarów", czytywaliśmy „zakazaną" literaturę, — w imię równości i braterstwa ściskaliśmy ręce żydom i łykom miechowskim, nosiliśmy szpilki

z orzełkiem polskim, urządzaliśmy manifestacyjne procesje — słowem, staraliśmy się o to, aby nasz Miechów szedł przykładnie za ruchem warszawskim i jeśli będzie potrzeba, aby męczeństwem dorównał stolicy. Do tego jednak na razie nie przyszło — gdyż władze cywilne, jako polskie, wcale nie reagowały na naszą chęć męczeństwa, a władze wojskowe, bardzo zresztą szczupłe, milczały i nie wtrącały się do niczego. W takim nastroju powszechnego zbratania się obchodziliśmy całemi bandami wszystkie domy zamożniejszej inteligencji w pierwszy dzień Wielkiej Nocy, składając życzenia, jedząc przytem i pijąc wyśmienicie, aż niejednemu w głowie zaszumiało. Na ustach była ojczyzna, naród polski, orzeł biały, rząd carski, pięciu poległych, wolność, niepodległość, równość. Oszołomione umysły już widziały Polskę zbawioną i niepodległą, wkraczające wojska francuskie, wygnanych moskali i wracających do kraju wygnańców politycznych. Były jednak i głosy przestrogi — lecz w czasie tak wysokiej temperatury nie słuchano ich zgoła, albo, co gorsza, podejrzewano je o brak patrjotyzmu lub nawet o szpiegostwo. O ile wiem. nastrój podobny właściwy był ogółowi miast i miasteczek w całem Królestwie.

Tymczasem skończyły się urocze dni feryj wielkanocnych: trzeba było wracać do Kielc, zasiąść pilnie do nauki, by uzyskać patent. Niewiele było ochoty potemu — rozleniwiliśmy się wszyscy, interesując się więcej sprawami publicznemi, niż książką i egzaminami. Na dobitkę świeżo zorganizowana straż obywatelska pociągnęła starszych uczniów naszej szkoły do uczestnictwa w nocnych obchodach, czyli „rondach". Podniosło to nas w przekonaniu własnem, — uważaliśmy się już nie za niedojrzałych i biernych widzów — ale za czynnych członków ruchu narodowego. — Ustrojeni w kokardki rozpoczynaliśmy z całem namaszczeniem nocną wędrówkę po cichem zresztą miasteczku, zapytując spotkanych zapóźnionych przechodniów: „Kto idzie?" Nie długo to jednak trwało i władza szkolna zaczęła nas zapędzać do nauki i do egzaminów. — Rok szkolny zakończył się wcześniej, niż zwykle i bez publicznego popisu: — rozjechaliśmy się do domu jakoś w połowie czerwca.

Pobyt mój w szkole Kieleckiej trwał, jak następuje: Wstąpiłem do 2-ej klasy w r. 1855 — i w 1856 otrzymałem drugą nagrodę. Rok 1856—7 przepędziłem w Sławkowie. gdyż dla braku środków ojciec nie był w możności kształ-

cić nas dalej. Dopiero w r. 1857, przy materjalnej pomocy dziadka i wuja Masłowskiego z Warszawy, wstąpiłem do kl. 3-ej i odtąd aż do ukończenia szkoły w r. 1861 pozostawałem w niej bez przerwy, otrzymawszy w kl. III pierwszą pochwałę, w kl. IV również pierwszą pochwałę, w kl. V nagrodę za język rosyjski i prócz tego pochwałę ogólną, wreszcie w kl. VI pierwszą nagrodę.

ANDRZEJ ŚWIĘTOCHOWSKI.

Z DZIEJÓW GOSPODARKI MIEJSKIEJ W KIELCACH

Okres od r. 1831—1845

I. CHARAKTERYSTYKA OGÓLNA [1])

Za trzeci okres dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach (w wieku XIX) uważamy trzynastolecie, rozpoczynające się od chwili stłumienia rewolucji listopadowej [2]) i trwające do czasu przeniesienia stolicy nowoutworzonej gubernji Radomskiej z Kielc do Radomia t. j. do 1 stycznia 1845 r. Od tej chwili Kielce stały się miastem powiatowem, co musiało się odbić ujemnie na rozwoju jego gospodarki [3]).

Statut organiczny z 14 lutego 1832 r. pozostawił narazie bez zmiany podział administracyjny Królestwa Polskiego na województwa, obwody, gminy miejskie i wiejskie (art. 39), jak również ustrój i kompetencję gmin [4]). Pozostały więc Kielce, jak dawniej, stołecznem miastem województwa Krakowskiego, które jednak od r. 1837 otrzymało nazwę gubernji Krakowskiej [5]), a od r. 1842 — gubernji

---

[1]) Dzieje pierwszego i drugiego okresu (1908—1918—1931) ogłoszone były w t. III i IV „Pamiętniku Koła Kielczan" (za r. 1928 i 1929) Część ta wyszła też w osobnej książce: Bol. Markowski. „Z dziejów gospodarski miejskiej w Kielcach". Warszawa 1930. Str. 72.

[2]) Armja rosyjska jenerała Rüdigera wkroczyła do Kielc 24—26 września 1831 r.

[3]) W dalszych dziejach gospodarki miejskiej w Kielcach można wyróżnić okresy: a) od 1845 do 1867 r. Kielce jako miasto powiatowe, b) od 1867 do 1915 r. Kielce stolica gubernji Kieleckiej; c) od 1915 do 1918 r. — czasy okupacji austrjackiej; d) od 1919 roku do chwili obecnej — Kielce jako stolica województwa w Polsce odrodzonej.

[4]) „Wszystkie dotychczas istniejące po miastach i gminach wiejskich i nadane im miejscowe prawa i ustawy pozostają na dawnych swoich zasadach i w dawnej mocy" (art. 1 statutu).

[5]) Ukaz 23 lutego (1 marca) 1837 r. (Dzien. praw tom 20-ty) „Województwa w Królestwie Polskiem mają odtąd nazywać się guberniami; prezesi Komisji wojewódzkich — gubernatorami cywilnymi, a Komisje wojewódzkie — rządami gubernjalnemi".

Kieleckiej [1]). Nastąpiła też w r. 1842 zmiana nazwy zarządów miejskich; otrzymały one zamiast dawniejszej nomenklatury „urzędów municypalnych” nowy tytuł „magistratów”. Równocześnie obwody przemianowano na powiaty, komisarzy obwodowych na naczelników powiatów, adjunktów — dozorców miast — na pomocników naczelników powiatowych. Lubo pod względem formalnym administracja kraju nie doznała narazie znaczniejszych zmian, lecz od samego już początku rządów ks. Paskiewicza zaznaczyła się dążność do stopniowej jej rusyfikacji; wyrazem tej dążności było mianowanie rosjan na naczelne stanowiska we władzach centralnych [2]). W administracji wojewódzkiej i lokalnej zajmowali urzędy w okresie 1831—1845 r. prawie wyłącznie polacy, lecz do spraw miejscowych wtrącali się często świeżo mianowani w województwach i obwodach naczelnicy wojenni. Wobec wprowadzenia w Królestwie Polskiem w r. 1833 stanu oblężenia wzrosło znaczenie i rola tych naczelników, a z ich żądaniami liczyły się nietylko władze prowincjonalne ale nawet wydziały Komisji Głównej Spraw Wewnętrznych i Duchownych.

Z drugiej strony przepis art. 34 statutu organicznego, głoszący, iż język polski ma być używany w administracji i sądownictwie, został wkrótce uszczuplony przez wydanie w r. 1835 postanowienia Rady Administracyjnej, wymagającego od urzędników publicznych znajomości języka rosyjskiego [3]).

W okresie, który rozpatrujemy, władze wojewódzkie a następnie gubernjalne urzędowały w języku polskim i używały go w korespondencji tak z władzami niższemi, jak i z Komisją Spraw Wewnętrznych i Duchownych, lecz w drugiej połowie 1839 r. zaczynają już wchodzić w użycie nagłówki blankietów korespondencyjnych w języku rosyjskim (np. „Krakowskoje gubiernskoje prawlenie”) lubo tekst jest pisany w języku polskim. Znajomość języka rosyjskiego

---

[1]) Postanowienie Rady Administracyjnej 18/30 grudnia 1842 r. (Dziennik praw tom 20-sty).

[2]) Dyrektorem głównym Komisji Spraw Wewnętrznych i Duchownych, do której należał zwierzchni nadzór nad gospodarką miast, był mianowany Strogonow, wkrótce zastąpił go jenerał lejtenant Gołowin, a po nim w r. 1839 urząd ten objął jenerał adjutant Szipow.

[3]) „Od 20 sierpnia 1837 r. nikt nie będzie przyjęty do urzędu i funkcji, od nominacji rządowej zawisłej, kto nie udowodni świadectwem władzy szkolnej, że posiada dostateczną znajomość języka rosyjskiego“.

(Postanowienie Rady administ. 24 grudnia (4 stycznia) 1834/35 r. (Dz. praw tom XVII).

coraz bardziej się krzewiła między urzędnikami od czasu wprowadzenia wykładów w języku rosyjskim w szkołach, poddanych w końcu roku 1839 pod władzę Okręgu Naukowego Warszawskiego, z kuratorem na czele, uzależnionym bezpośrednio od Ministerstwa Oświaty w Cesarstwie [1]).

* * *

Na czele władzy administracyjnej w województwie Krakowskiem a następnie w gubernji, w okresie 1831—1845 r., stał w charakterze prezesa Komisji Wojewódzkiej do roku 1837 a potem gubernatora — referendarz stanu — Antoni Walewski [2]). Z akt urzędowych, dotyczących owej epoki [3]), można wnosić, iż był to sumienny i pilny urzędnik, lecz bez większej energji i inicjatywy.

Nadzór polityczny nad władzami miejscowemi i nad zachowaniem się społeczeństwa w województwie (później w gubernji) sprawowali naczelnicy wojenni w Kielcach: od r. 1831 do 1836 jenerał-major Tutczek, później jenerał-major Bohlen, a od 1842 r. pułkownik wojsk rosyjskich — Białoskórski [4]).

II. POCZĄTKI OKRESU

Gdy w dniach 24—26 września 1831 r. oddziały armji rosyjskiej jenerała Rüdigera zajęły Kielce, to nie zastały tu żadnych władz polskich, bo te przestały urzędować i nawet

---

[1]) Ukaz z dn. 20 listop. (2 grudnia) 1839 r. (Dz. praw Tom XXIV)

[2]) Przed rewolucją zajmował stanowisko komisarza obwodu kieleckiego; do pełnienia obowiązków prezesa komisji wojewódzkiej był powołany 20 października 1831 r. przez dowódcę armji rosyjskiej, która zajęła Kielce, jenerała Rüdigera. Bardzo zasłużony dla Kielc poprzedni prezes komisji wojewódzkiej, Kacper Wielogłowski, opuścił Kielce i schronił się do wolnego miasta Krakowa, gdzie w roku 1832 został kasztelanem — prezesem Senatu wolnego miasta. O dalszych losach Wielogłowskiego p. artykuł w czasopiśmie „Ziemia" № 7/32 p. t. „O stuletnich topolach w Kielcach i o ich plantatorze Kacprze Wielogłowskim".

[3]) Jako główny materjał zużytkował autor — Akta Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, tyczące się m. Kielc. Tom VII i dalsze (№ 2428—2435), przechowywane w archiwum Akt dawnych w Warszawie.

[4]) Za swą działalność otrzymali oni awanse i nagrody: jenerał Tutczek został komendantem m. Warszawy, jener. Bohlen otrzymał jako donację dobra rządowe Buda w obwodzie kieleckim, a pułkownika Białoskórskiego mianowano w r. 1845 na stanowisko pierwszego gubernatora radomskiego.

częściowo opuściły miasto [1]). Prezydenta zastępował radny Dominik Wójcikowski a dopomagało mu kilku wybitniejszych obywateli miejskich [2]), na nich więc spadł ciężar zaspokajania żądań wojska i licznych świadczeń.

Z akt urzędowych dowiadujemy się, że w końcu września 1831 r. (29-go) szef sztabu pułkownik Glasenapp, z rozkazu swego dowódcy Księcia Wirtemberskiego, polecił zarządowi miasta wypłacić 650 zł. 23-em więźniom politycznym zwolnionym z więzienia w Chęcinach i nieposiadającym środków na podróż do miejsc swego pochodzenia. Sumę tę kasa miejska wypłaciła za pokwitowaniem junkra wojsk rosyjskich Berga i pułkownika Forhofa [3].

Niemal równocześnie zarząd miejski otrzymał rozkaz przygotowania odpowiedniego lokalu dla głównodowodzącego armją jener. Rüdigera. Na kwaterę przeznaczono w domu pocztowym mieszkanie naczelnika głównego urzędu pocztowego w Kielcach Kellera, który podówczas był w mieście nieobecny. Przygotowanie mieszkania pociągnęło za sobą wydatki z kasy miejskiej 529 zł. 10 gr. a nabycie nowych mebli — 750 zł. [4]). Prócz tego zajęto na kwatery

---

[1]) Drobne utarczki między ustępującymi z Kielc i okolicy nielicznemi oddziałami wojsk polskich i awangardą armji rosyjskiej miały miejsce wzdłuż traktu prowadzącego z Kielc do Pińczowa i w lesie dymińskim. Oddziały wojska, które zajęły Kielce i posuwały się w stronę Pińczowa, obozując pod lasem, poniszczyły parkany i płoty budynków osady karczemnej; należała ona wówczas do Wacława Kaweckiego (stąd dotychczasowa nazwa tej osady — Kaweczczyzna). W r. 1832 Kawecki prosił zarząd miejski, aby go zwolniono od opłaty 150 zł. konsensowego z karczmy z powodu strat, wyrządzonych mu „przez ścigające się wojska, jako też przez postój takowych obozami wedle jego domu".

[2]) Adam Ciecholewski, Jan Nepomucen Wodziczko, Jan Bełkowski, Jan Wysłuchowski, Michał Kulikowski, Bartłomiej Tomaszewski, właściciele domów w Kielcach.

[3]) Usprawiedliwiając ten nadetatowy wydatek kasy miejskiej, Kielecka Komisja Wojewódzka w r. 1832 (16 paźdz.) prosiła Komisję Główną Spraw Wewnętrz. „aby go na ogólny fundusz etatowy (miejski) przyjąć raczyła, przy licznych bowiem kosztach, jakie mieszkańcy miasta przez cały ciąg rewolucji ponosili, wydatek ten byłby (dla nich) bardzo dotkliwy a nawet do nich zaregulowany być by nie mógł, gdyż obwinieni, którym musiano wydać zasiłek, należąc do całego kraju, nie mogą być ciężarem jednego miasta".

Byli to więźniowie obwinieni o szpiegostwo i dostarczeni do więzienia w Chęcinach z różnych miejscowości.

[4]) Jenerał Rüdiger zajmował kwaterę na poczcie do pierwszych dni stycznia 1832 r. Gdy Komisja Wojewódzka prosiła Komisję Główną Spraw Wewn. o zaakceptowanie wydatku 750 zł. na meble dla Rüdigera, otrzymała nakaz sprzedania mebli, okazało się jednak, że były bardzo zniszczone i nikt ich nie chciał nabyć. Zapewne uległo też zniszczeniu umeblowanie należące do naczelnika poczty Kellera, wnosił bowiem o to

wojskowe mieszkania wielu osób prywatnych; wojskowe szpitale choleryczne umieszczono w domach pogórniczych za b. zamkiem biskupim, usunięto z nich lokatorów, a dla wyniesionego z tych budynków biura wójta gminy wiejskiej Kielc wynajęto inny lokal, za który kasa miejska zapłaciła 700 zł. Władze wojskowe wymagały też dostarczenia do biura komendanta placu materjałów piśmiennych i rekwizytów kancelaryjnych, kasa miejska wydała na ten cel do końca listopada 1831 r. — 129 zł. 18 gr.

Wojskowe władze rosyjskie same były zainteresowane w tem, aby jaknajprędzej przywrócić urzędowanie administracji miejscowej, to też już w dn. 3 października 1831 r. w Dzienniku Urzędowym Województwa Krakowskiego (№ 69) czytamy ogłoszenie zastępcy prezesa Komisji Wojewódzkiej, radcy Trzewińskiego tej treści: „Rozpocząwszy w dniu dzisiejszym z mocy rozkazu JW. Płachowa, jenerała majora wojsk rosyjskich z daty 3 b. miesiąca № 35, zwykłe czynności urzędowe w takim samym składzie i porządku, jaki istniał przed dniem 29 listopada 1830 r., mam zaszczyt o tem zawiadomić Publiczność i Mieszkańców województwa". 20 października 1831 r. obowiązki prezesa Komisji Wojewódzkiej objął Antoni Walewski, w październiku też powrócił do Kielc na swe dawniejsze stanowisko prezydenta urzędu municypalnego Stanisław Niewiadomski, który w grudniu 1830 roku był „oddalony od urzędowania przez Rząd rewolucyjny" [1]).

W rozchodach kasy miejskiej z tego okresu, niezależnie od nadzwyczajnych wydatków na zaspokojenie żądań władz wojennych, figuruje suma 652 złote, wypłacona jako zapomoga rodzinom oficerów wojsk polskich, które po rozbiciu armji narodowej pozostały bez środków do życia [2]).

* * *

---

pretensję do kasy miejskiej na sumę 877 zł., lecz nie otrzymał odszkodowania za straty jako spowodowane przez siłę wyższą.

[1]) W czerwcu 1832 r. Komisja Spraw Wewn. na skutek podania Niewiadomskiego o wypłacenie mu połowy pensji za czas pozostawania w stanie nieczynnym, zapytywała Komisję Wojewódzką, co spowodowało władze rewolucyjne do usunięcia Niewiadomskiego, czem się trudnił po usunięciu go i jakie było jego sprawowanie przez czas trwania rewolucji. Odpowiedzi Komisji Wojewódzkiej w aktach urzędowych nie znajdujemy.

[2]) Jako usprawiedliwienie tego wydatku Komisja Wojewódzka pisze w roku 1832 (26 czerwca) „do końca sierpnia 1831 r. rodziny oficerów wojsk polskich bez środków do życia pozostających, były utrzymywane przez Komitet Opiekuńczy. W miesiącu wrześniu w chwili osta-

Kiedy gospodarka miejska mogła się zająć bardziej normalnemi sprawami, wysunęły się na plan pierwszy potrzeby uporządkowania szkód, wyrządzonych w mieście przez przemarsz wojsk. Już w końcu grudnia 1831 roku Komisja Wojewódzka przedstawia Komisji Głównej Spraw Wewn. potrzebę naprawy bruków na ulicy Krakowskiej i innych kosztem 3860 zł; suma ta wydała się Komisji Spraw Wewn. zbyt wysoka w stosunku do środków kasy miejskiej.

Za to w marcu 1832 r. Komisja Główna zezwoliła na wypłacenie 900 zł. za wyszosowanie wjazdu do miasta przez ulicę Borzęcką; w sierpniu tegoż roku zatwierdziła kosztorys na 438 zł. dla poczynienia napraw mostów, barjer, plantacyj i t. p. „zniszczonych przez armję rosyjską po założeniu obozów około Kielc", tudzież przyjęła kosztorys na sumy 778 i 346 zł. na odnowienie zrujnowanych przez wojska szlabanów na rogatkach miejskich. W tymże czasie kasa miejska wydatkuje 2.000 zł. na postawienie zburzonych sztachet przy ogrodzie miejskim a Komisja Główna wydatek ten zatwierdza 11 lutego 1833 roku.

III. ZARZĄD MIEJSKI I GMINA MIASTA KIELC

Najniższym organem administracji lokalnej pozostał w okresie porewolucyjnym zarząd miejski, który w latach 1831—1842 zatrzymał dawną swą nazwę „urzędu municypalnego", a od roku 1842 nosił nowy tytuł „magistratu". Ani w jego ustroju wewnętrznym ani w zakresie kompetencji nie zaszły zasadnicze zmiany w stosunku do poprzedniej epoki. W mieście wojewódzkiem, jak Kielce, był on urzędem wykonawczym podległym bezpośrednio Komisji Wojewódzkiej, z pewną dozą inicjatywy w sprawach gospodarki miejskiej, a w szczególności w sporządzaniu projektów budżetu (etatów kasy miejskiej).

Po stłumieniu działań rewolucyjnych wrócił na dawne stanowisko w październiku 1831 r. były prezydent m. Kielc

---

tecznych wysiłków krajowych, ręka ludzkości, dotąd tym nieszczęśliwym wsparcie niosąca zamknięta a wszelkie odezwy do serc czułych czynione zamierzonego skutku sprowadzić nie mogły, bo nagłe a liczne wydatki wszelkie uczucia stłumiły". Komisja Wojewódzka, będąc przeniknięta całą okropnością położenia tych nieszczęśliwych, bez ratunku i wsparcia pozostających, poleciła wypłacić im z kasy miejskiej 612 zł. sposobem awansu i prosi Komisję Spraw Wewnętrz. o zezwolenie zwrotu kasie miejskiej tej sumy z funduszu przeznaczonego na wsparcie ubogich do dyspozycji Komisji.

Stanisław Niewiadomski, usunięty z urzędu w listopadzie 1830 r. po wybuchu rewolucji. Niedługo jednak pozostawał na swem poprzedniem miejscu. Z podpisów na korespondencji urzędowej i ze wzmianek w aktach widać, iż w latach 1832, 33 i 34-ym, Niewiadomski nie pełnił już obowiązków prezydenta [1]), a czasowymi zastępcami byli urzędnicy Zaremski i Prus-Jezierski, o których brak bliższych wiadomości. We wrześniu 1834 roku został mianowany przez Radę Administracyjną prezydentem m. Kielc sztabs-kapitan wojsk rosyjskich, Wilhelm Bötticher, który pozostawał na tem stanowisku do końca omawianego okresu.

W pierwszych kilku latach po rewolucji listopadowej (1831—1836) nie zaszły żadne zmiany w składzie i w uposażeniach urzędu municypalnego. Należeli więc do niego: prezydent (z pensją roczną 4.000 zł.), radny kasjer (1.500 zł.) [2]), radny sekretarz (1000 zł.) [3]), kancelista (600 zł.) [4]). Przy urzędzie municypalnym pełnili: służbę zdrowia, chirurg miejski (300 zł.) [5]), służbę bezpieczeństwa — intendent policji (800 zł.) [6], 8-u policjantów miejskich (z pensją po 350 zł. rocznie), dozorca narzędzi ogniowych (200 zł.), dwóch stróżów nocnych (po 350 zł.) i polmistrz (czyściciel 200 zł.). Już w czerwcu 1832 r. Komisja Wojewódzka wystąpiła do Komisji Głównej Spraw Wewn. z prośbą o powiększenie liczby policjantów w Kielcach o 4-ech, lecz Komisja Spr. Wewn. na to się nie zgodziła, motywując odmowę przyto-

---

[1]) W latach 1832—1833 Niewiadomski był „honorowym asesorem Komisji Województwa Krakowskiego, delegowanym do obwodu olkuskiego", w r. 1834-ym prawdopodobnie już wcale nie urzędował, gdyż zlikwidował swe należności z czasów urzędowania; czynił bowiem starania o zwrot kosztów, wydatkowanych z własnych funduszów w r. 1831 na żywienie więźniów zatrzymanych w areszcie detencyjnym i podawał prośbę w tym przedmiocie do władz wyższych, które dowiadywały się o jego przeszłości politycznej. Gdy naczelnik wojenny Województwa Krakowskiego, jenerał-major Tutczek zaświadczył w swym raporcie, iż Niewiadomski „był predan zakonnemu prawitielstwu" w czasach rewolucyjnych, Namiestnik Król Pols. w końcu 1834 r. polecił zwrócić Niewiadomskiemu z funduszów więziennych 521 zł. 28 gr. wydatkowane na utrzymanie więźniów w roku 1831. Późniejszych wzmianek o Niewiadomskim w aktach już nie znajdujemy.

[2]) W roku 1831 był nim Wincenty Sienicki, później Stanisław Łatkiewicz.

[3]) W roku 1831 i następnych Karol Szczudłowski.

[4]) W roku 1831 — Cybulski.

[5]) W roku 1831 chirurg — Żyliński.

[6]) W roku 1831 Radkowski, później Czerkiewicz.

czeniem cyfr ludności przypadającą w Kielcach i w innych miastach na jednego policjanta [1]).

W styczniu 1835 r. wkrótce po mianowaniu nowego prezydenta miasta, Böttichera i najwidoczniej pod jego wpływem Komisja Wojew. zwróciła się z wnioskiem: o powiększenie pensji prezydenta, wobec pomnożenia się dochodów miejskich (głównie z propinacji) [2]), ustanowienie posady stałego archiwisty z pensją 800 zł. rocznie i o powiększenie pensji kasjera do 2500 zł. Komisja Spr. Wewn. odpowiedziała (w lutym 1835 r.) odmownie, gdyż „etat na lat trzy (do 1836 r.) jest już zatwierdzony i przy nowym etacie podwyższenia mogą być usprawiedliwione".

W lutym 1836 roku Komisja Spr. Wewn. zatwierdziła nowy etat dla kasy miejskiej na rok 1836-ty. Skład osobowy i wynagrodzenie funkcjonarjuszów miejskich ustanowiono jak następuje:

Stanowisko służbowe	Pensja roczna w zł.	Stanowisko służbowe	Pensja roczna w zł.
Prezydent	4.500	Z przeniesienia	12.500
Radny kasjer	2.000		
„ sekretarz	1.200	Chirurg miejski	300
Intendent policji	1.200	12 policjantów miejskich	
Dziennikarz	800	po 350 zł.	4.200
Kwatermistrz	800	2 stróżów nocnych	700
Archiwista	800	Dozorca narzędzi ogniow.	200
Kancelista I	600	„ gmachu ratusza	350
Kancelista II	600	Polmistrz	200
Do przeniesienia	12.500	Razem	18450 zł.

[1]) W lipcu 1832 r. Komisja Spr. Wewn. w odmowie swej przytacza, że w Kielcach liczących 4163 głów ludności przypada 1 policjant na 520 mieszkańców, gdy w Radomiu jeden na 623 ludzi, a w Warszawie 1 na 1158 głów.

[2]) Przeciw powiększeniu pensji prezydenta zaoponował naczelnik wojenny w Kielcach jenerał Tutczek w poufnym raporcie do Dyrektora Komisji Głównej spr. wewn. (z lutego 1835 r.), dowodząc, że Bötticher zaledwie od $3^1/_2$ miesięcy mianowany prezydentem nie mógł jeszcze żadnych zasług dla miasta położyć, powiększenie zaś dochodów jest rezultatem współzawodnictwa między dawnym i nowym dzierżawcą propinacji, a kasę miejską oczekują znaczne wydatki.

Jak się okazuje etat osobowy urzędu municypalnego od r. 1836-go został bardzo znacznie podwyższony. Ilość funkcjonarjuszy wzrosła o 9 osób (nowo utworzone stanowiska dziennikarza, kwatermistrza, archiwisty, I-go kancelisty, dozorcy gmachu i 4-ech policjantów), a pobory personelu powiększyły się o 6350 zł. rocznie (18.450 zł. zamiast 12.100 zł.) t. j. o 50%.

W następnych latach zwraca uwagę powiększenie płacy chirurga w etacie na lata 1837—1839 do 400 zł. rocznie, a w etacie na rok 1840 wprowadzenie dodatkowej pozycji „na służbę zdrowia" w sumie 1758 zł. [1]), w tymże etacie dodanie nowego stanowiska adjunkta inspektora policji z płacą 700 zł. rocznie, a dalej w etacie na rok 1841 pewna reforma w zaszeregowaniu policjantów miejskich, których podzielono na trzy kategorje: 3-ech dozorców policyjnych I-szej klasy z pensją po 500 zł. rocznie, 4-ech dozorców II klasy z wynagrodzeniem po 400 zł. rocznie i 3-ech policjantów płatnych po 350 zł. na rok [2]).

Po wprowadzeniu w Królestwie Polskiem, na zasadzie Ukazu z 3/15 września 1841 r., systemu monetarnego rosyjskiego [3]) etat personalny Magistratu miasta Kielc na rok 1842-gi, zatwierdzony przez Komisję Spr. Wewn. 4/16 lutego 1842 r. przedstawiał się jak następuje:

---

[1]) Wraz z zakwaterowaniem w mieście oddziałów wojsk rosyjskich, powiększyła się znacznie ilość chorób wenerycznych i wzrosła liczba prostytutek, stąd powstała potrzeba pomnożenia wydatków na służbę zdrowia. W sprawie wzrostu prostytucji znajdujemy w aktach z r. 1834 wiadomość, iż Komisja Wojew. poleciła prezydentowi miasta „zebrać wszystkie nierządnice w jeden dom publiczny pod nadzorem gospodyni, ustanowiła rewizje i nadzór lekarski i zapytuje Komisję Spr. Wewn., czyby nie należało od kobiet nierządnych pobierać kanonu od procederu na rzecz kasy miejskiej, która znaczne koszty ponosi na leczenie chorób wenerycznych w szpitalach krakowskich". Komisja Spr. Wewn. wyraziła opinję, że o opłacie kanonu od procederu kobiet nierządnych mowy być nie może (w czerwcu 1834 r.).

[2]) Ochrona policyjna w okresie porewolucyjnym była w całym kraju silnie wzmocniona zwłaszcza ze względów politycznych. W Kielcach oprócz utrzymywanej kosztem miasta policji w składzie 12-u ludzi były zaprowadzone wartownie straży wojskowej na rogatkach miejskich, przy magazynach i kasach oraz odwach przy ratuszu (magistracie). W grudniu 1834 r. Komisja Spr. Wewn. zatwierdziła umowę ze stolarzem Marszyckim o postawienie z funduszów miejskich 13 budek drewnianych dla szyldwachów wojskowych.

[3]) Dziennik praw. Tom 28-my.

Stanowisko służbowe	Płaca roczna w rub.	Stanowisko służbowe	Płaca roczna w rub.
Prezydent	750	Z przeniesienia	2.180
Kasjer (a)	350	Dwaj kanceliści po 90 rb.	180
Sekretarz (a)	180	Służba zdrowia (c)	263.70
Inspektor policji	180	3 dozorców polic. po 75 r.	225
Adjunkt inspektora policji	120	4 dozorców polic. po 60 rs.	240
Archiwista	120	3 policjantów po 52 r. 50 k.	157.50
Dziennikarz	120	2 stróżów nocnych	105
Kwatermistrz	180	dozorca narz. ogniow. (d)	30
Tłom. pism rosyjskich (b)	180	Polmistrz (czyściciel)	45
Do przeniesienia	2.180	Razem	3.406,20 k.

a) w etacie na r. 1844 podniesiono pensje kasjerowi do 375 rub., sekretarzowi do 225 r., utworzono nowe stanowisko asystenta kasy z płacą 135 rubli.

b) stanowiska nowe utworzone we wszystkich urzędach lokalnych ze względu na stopniowe wprowadzanie urzędowania we władzach centralnych w języku rosyjskim.

c) chirurg i felczer (?)

d) od r. 1845 polecono mu także dozór studzien i podniesiono płacę do 52 rub. 50 kop.

Porównywając stan zarządu miejskiego na początku roku 1831 pod względem liczebności personelu i kosztów jego utrzymania ze stanem w końcu omawianego okresu t. j. w dniu 1 stycznia 1845 r. znajdujemy, iż ogólna liczba funkcjonarjuszów zarządu miejskiego stanowiła na początku okresu 17 osób a w końcu 28; koszty personalne wynosiły w r. 1830/31 — 12.100 zł. czyli 1815 rubli, a w roku 1844/5 3406 rub. 20 kop.

*
* *

Obszar gminy miasta Kielc, obliczony w rejestrze pomiarowym z r. 1842-go na 216 morgów [1]), nie uległ od tego czasu żadnej zmianie [2]). Ta dość rozległa przestrzeń była

---

[1]) Patrz pamiętnik Koła Kielczan. Tom IV r. 1929, str. 10.

[2]) W kwietniu 1843 r. właścicielka folwarku Piaski, który wchodził w obręb gruntów miejskich, Leokadja Czyszkowska, chcąc zaciągnąć pożyczkę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zwracała się do Komisji Spraw Wewn. z prośbą o wydzielenie jej realności z terytorjum miasta w osobną jednostkę wiejską, ale wobec opinji Rządu gubernialnego (z września 1843 r.), że wyłączenie folwarku naraziłoby kasę miejską na znaczne straty, prośba Czyszkowskiej pozostała bez skutku.

zwarcie zabudowana tylko w swym ośrodku, który, jak i w poprzedniej epoce, skupiał się na wzgórzu około starożytnej kolegiaty i w dolinie rzeczki Silnicy wzdłuż ulic Borzęckiej (z kościołem św. Wojciecha) i Warszawskiej (później Staro-Warszawskiej) oraz obok rynku miasta. Ilość domów mieszkalnych, która w r. 1825 wynosiła 324 [1]) niewiele się od owego czasu powiększyła, gdyż budzący się w okresie Królestwa Kongresowego ruch budowlany znacznie osłabł w epoce porewolucyjnej. Według wykazu dołączonego do wniosku Komisji Wojew. z grudnia 1835 r. w sprawie ksiąg ludności było w Kielcach w maju 1835 r. 434 lokali zamieszkałych, a że większość domów posiadała po jednym do dwóch lokali, należałoby mniemać, iż liczba domów mieszkalnych w tym że roku mogła stanowić około 350.

Nie o wiele też wzrosła liczba ludności. W roku 1827 miała ona wynosić 3611 głów [2]). Na początku omawianego przez nas okresu (w lipcu 1832 r.) Komisja Spr. Wewn. w decyzji swej uzasadniającej odmowę powiększenia liczby policjantów w Kielcach, oblicza ilość mieszkańców na 4163 głów; w motywach do etatu kasy miejskiej na rok 1835 jest podana liczba ludności na 4517 dusz, a w roku 1837-m na 4524. Co do następnych lat nie znajdujemy danych statystycznych w aktach archiwalnych. Po przeniesieniu z Kielc zarządu gubernialnego do Radomia w r. 1845-m liczba ludności raczej się zmniejszyła (w roku 1860 według Br. Chlebowskiego miała wynosić tylko 3972 głów).

Można zatem przyjąć, iż w epoce między 1831 i 1845 rokiem Kielce liczyły w zaokrągleniu 4500 mieszkańców.

Była to ludność prawie wyłącznie polska i katolicka. Nie znajdujemy jeszcze w owych czasach urzędników rosjan, z wyjątkiem naczelników wojennych; żydom zaś w Kielcach nie wolno było zamieszkiwać, lubo na wszelki sposób starali się obchodzić ten zakaz [3]). Rozpatrując skład ludności w Kielcach w r. 1843, na podstawie wykazu osób opłacających podatek od zajęć przemysłowych (kanon od

---

[1]) W grudniu 1835 r. Komisja Wojew. zwróciła się z wnioskiem o pozwolenie na wydatek 330 zł. 20 gr. na koszty druków domowych ksiąg ludności i 496 zł. na wynagrodzenie djetarjusza za prowadzenie ksiąg. Do tego wniosku był dołączony wykaz lokali.

[2]) Według danych, przytoczonych przez Bronisława Chlebowskiego w Słowniku Geograficznym. Tom IV.

[3]) W roku 1833 (15 maja № 4384)) Komisja Rządowa Spr. Wewn. i Duchownych nadesłała Komisji wojew. w Kielcach reskrypt, opiewający „iż odtąd wolno jest starozakonnym w mieście Kielcach osiadać i stale w niem zamieszkiwać". Strwożeni tym nieoczekiwanym rozpo-

procederów)[1]) znajdujemy, iż w owym czasie było w mieście: rzemieślników 218 (w tem szewców 56, mularzy 24, krawców 23, stolarzy 14, cieśli 10, piekarzy 7, rzeźników 7, kowali, rymarzy i młynarzy po 5-u, innych zajęć 62); kupców i handlarzy 93 (w tem — aptek 2, handli winnych 7,

---

rządzeniem mieszkańcy Kielc, podali rekurs do Rady Administracyjnej, a Komisja Wojew. prosząc o wyjaśnienie nasuwających się wątpliwości co do prawa zamieszkiwania żydów w Kielcach, w raporcie swym z 4 czerwca 1833 r. pisze: „Gdy w przywilejach Króla Imci Saskiego dla niektórych miast b. Księstwa Warszawskiego umieszczony był warunek, aby dla starozakonnych określone były oddzielne od mieszkańców chrześcijańskich rewiry czyli okręgi, przeto Komisja Wojewódzka w mniemaniu, że prawidło to i do miasta Kielc może być zastosowane, zarządziła przygotowanie planu na nową izraelską osadę, przy przyjęciu którego (planu) mieć będzie uwagę na łączenie wszelkich dogodności dla miasta chrześcijańskiego jako też dla starozakonnych. Raczy więc Komisja Rządowa postanowić, czy projekt zamierzony ma przyjść pod decyzję Komisji Rządowej lub czy dosyć będzie na przyjęciu takowego przez Komisję Wojewódzką?“ W końcu Komisja Wojew. zapytuje, czy nie należałoby ogłosić w Dzienniku Wojewódzkim i w innych pismach perjodycznych o wolności żydów zamieszkiwania w Kielcach.

Na raport Komisji Wojew. polecono „przedstawić przywileje miasta Kielc, potrzebne do bliższego wyjaśnienia rekursu do Rady Administracyjnej przez chrześcijan zaniesionego“.

Rozstrzygnięcia sprawy przez Radę Administracyjną w owym czasie nie było i żydzi nie uzyskali prawa zamieszkiwania w Kielcach, jak to potwierdzają poniżej przytoczone fakty:

W roku 1835 r. Herszel Rossenblat, tytułujący się tłumaczem pism hebrajskich, wniósł podanie o zezwolenie mu na stałe zamieszkiwanie w Kielcach i prowadzenie tamże dozwolonych konsensem procederów. Komisja Spr. Wewn. oświadczyła, że nie przychyla się do prośby Rossenblatta, ponieważ Rada Administracyjna dotąd jeszcze nie wyrzekła, czyli starozakonni mogą osiedlać się w Kielcach jako w mieście, w którem żydzi od najdawniejszych czasów nie zamieszkiwali“. W maju 1838 roku podał prośbę Boruch Manela z Chęcin, aby mu wolno było otworzyć w Kielcach handel towarów łokciowych. Rząd gubernialny dał przychylną opinję, a prezydent m. Kielc Bötticher był zdania, że możnaby pozwolić Maneli na otwarcie handlu z tem, aby nie mieszkał w mieście. Komisja Spr. Wewn. w odpowiedzi na podanie Maneli oznajmiła „że się zajmuje rewizją przepisów o sprawach żydów, lecz do czasu ostatecznej decyzji prośba jego stanowczo załatwioną być nie może“. We wrześniu 1842 Komisja Spr. Wewn. na skutek skarg Jana Hamburga, Jana Malinowskiego, Adama Ciecholewskiego, Rudlofa i Kiniorskiego w imieniu własnem, jak również cechów i mieszkańców m. Kielc, iż władze miejscowe dozwalają osiedlać się żydom, poleciła, „aby reskrypty wydane 22 marca 1834 roku, 27 maja 7 czerwca 1837 r. 5/17 września 1842 r. wyraźnie wstrzymujące osiedlanie się żydów w Kielcach przestrzegane były i nakazała zarządzić śledztwo i dopilnować, aby zakazy pod żadnym pozorem przekraczane nie były“.

[1]) Lista klasyfikacyjna procederzystów do opłaty kanonu na rzecz kasy miejskiej miasta gubernialnego Kielce na rok 1843 pociągniętych— znajdująca się w aktach archiwum wojewódzkiego w Kielcach pod № 215; wykaz zawiera ogółem 346 nazwisk.

restauracji z bilardami 8, cukierni 4, traktjerni 6, handli towarów łokciowych 3, żelaznych 2, skór 1, szkła 1, księgarnia 1, dystrybucyj tytoniu 2, kollektur loterji 3, dystrybucyj soli 19, handli wiktuałami 17, domów zajezdnych 8, przekupek 18 i kramarz 1); osób innych zawodów 32 (w tem furmanów wynajmujących konie 12, nauczycielek muzyki 7, muzykantów 5, akuszerek 4, poczthalter 1, dzierżawca propinacji 1, dystrybucja stempli 1, liwerant 1). Do tych liczb należy jeszcze dodać 2 browary, łazienki i uderzająco wielką ilość szynków, których w r. 1841 liczono 51 [1]).

Z brzmienia nazwisk objętych listą procederzystów, dowiadujemy się, że między właścicielami handli winnych znajdowały się w r. 1843 dwie firmy rosyjskie Łucznikowa i Dutowa, a pośród rzemieślników i kupców było kilku żydów (czapnik Boruch Friedman, garbarz Icek Grinszpan, handlarz wiktuałów Saul Rossenblatt, introligator Symcha Hachl, księgarz Aron Szenfeld, liwerant Boruch Manela, piekarz Lejbuś Grinszpan).

Spora ilość rzemieślników i niektórzy z kupców posiadali własne domostwa; niektórzy z obywateli miejskich trudnili się wyłącznie drobnem gospodarstwem rolnem, posiadając poza zabudowanym terenem miasta własne „półłanki"

Obok ludności małomieszczańskiej i zamożniejszego kupiectwa [2]) zamieszkiwała w Kielcach w owej epoce spora garść duchowieństwa, nauczycielstwa i rodzin urzędniczych, którą można obliczyć na kilkaset osób [3]).

BOLESŁAW MARKOWSKI.

---

[1]) Taką ilość podaje Rząd gubern. w raporcie do Komisji Spr. Wewn., twierdzi przytem, iż ilość szynków jest zaduża, bo Kielce mają 4499 dusz ludności, a razem z przyjezdnymi i wojskiem około 5.200; rachując na jeden szynk 400 ludzi, nie powinno być szynków więcej jak 13 a jest ich 51.

[2]) Między firmami wymienionymi w liście procederzystów z 1843 r. niektóre bardziej znane przetrwały przez dłuższe lata, jak apteka Pantoczka, handle Łucznikowa, Szwarca, Krena, Ciecholewskiego, Smolińskiego i inne.

[3]) Kielce posiadały podówczas seminarjum duchowne, gimnazjum męskie, pensję żeńską prywatną, biura Komisji Wojewódzkiej (później Rządu Gubernialnego), komisji obwodowej (później biuro powiatowe), leśnictwo, trybunał sądowy i urząd miejski (magistrat).

BISKUP KAJETAN SOŁTYK W POEZJI POLITYCZNEJ SEJMU CZTEROLETNIEGO

Postać dla mnie osobliwa Polski osiemnastowiecznej. Libertyn i asceta, warchoł i najżarliwszy patrjota, rozsądny pasterz tej krakowskiej diecezji, jednocześnie zaś zadziwiający ludzi ekscentrycznemi wybrykami — jeden z „egzemplarzy starodawnej Polski", do których, jak do nikogo lepiej, zastosować można zgryźliwy sąd Słowackiego o staroście Ankwiczu z „Beniowskiego": „dziwna meskolancja świętości, złota, folgi — jak monstrancja".

Kajetan Sołtyk, biskup krakowski i książę siewierski, zanim przyszła nań nieszczęsna choroba umysłowa, która go pozbawiła administracji diecezją i wypędziła na paroletnie żałosne wygnanie na zamek biskupi w Kielcach, zdążył odegrać w dziejach Polski pewną, jak się to mówi, rolę historyczną. Za Augusta III, który go wypromował na biskupa kijowskiego, był sobie przeciętnym typem politykującego możnowładcy typu saskiego, tworząc z Brühlem i marsz. nadw. Mniszchem niezaszczytne zresztą trifolium dworskie, działające pod opiekuńczemi skrzydłami Potockich. Z dzisiejszej perspektywy historycznej trudno mu również udzielić aprobaty za jego politykę dysydencką w okresie sejmu Czaplica (1766). Należałoby raczej stwierdzić, że opozycja Sołtyka, prowadzona na tym sejmie przeciw reformom Czartoryskich, które reprezentował mądry i przewidujący kanclerz Zamoyski (głosowanie na sejmach w sprawach gospodarczych pluralitate vocum, a więc obalenie liberum veto), przyczyniła się do obalenia zbawiennych dla Rzeczypospolitej reform, idąc właśnie po linji pragnień Rosji, których Sołtyk tak niby gwałtownie nienawidzi. Sprzeczności i jeszcze raz sprzeczności. Konsekwentniejszy staje się dla nas Sołtyk w okresie sejmu radomskiego, kiedy to Repnin pragnął uczynić Polaków powolnymi dla Rosji nietylko w sprawach ustępstw dla dysydentów, ale również w kwestjach ustrojowych, które miały zakonserwować trupa politycznego dawnej Rzeczypospolitej dla pożytku Rosji. Sołtyk staje się teraz widomym wodzem opozycji antyrosyjskiej i nie schodzi ze swego stanowiska

pomimo presji i gróźb Repnina. Darmo mu poseł Katarzyny zapowiada, że księcia siewierskiego uczyni księciem sybirskim, napróżno Kreczetnikow z rozkazu Repnina konfiskuje Sołtykowi wszystkie wsie bispupstwa krakowskiego z miastem Kielcami, zbożem i bydłem folwarcznem. Sam Repnin jeździ odtąd w karecie, zaprzężonej w kieleckie cuganty biskupa Sołtyka. Zatarg kończy się wreszcie wywiezieniem Sołtyka wraz z bisk. Załuskim, hetmanem pol. kor. W. Rzewuskim i synem jego Sew. Rzewuskim do Kaługi. Repnin dotrzymał obietnicy tylko częściowo, czyniąc z Sołtyka księcia kałuskiego. Biskup interesuje się w niewoli żywo losami swego biskupstwa: zarządza budowę szpitala w Kielcach, przeznacza pewne sumy na utrzymanie konwiktu dla młodzieży szlacheckiej, która kształci się w szkołach kieleckich, umieszczona z rozkazu biskupa na jego zamku kieleckim. Z wygnania wraca w r. 1773. W rok po powrocie zdradza pierwsze objawy obłąkania, która to okoliczność spowodowała słynną podówczas aferę o koadjutorję biskupstwa krakowskiego, do której wzdychali wszyscy dostojnicy kościelni, najwięcej zaś chyba brat królewski, biskup płocki, przyszły prymas, Michał Poniatowski. Mieli do czego wzdychać: biskupstwo krakowskie dawało miljon złotych rocznego dochodu. Dochody z biskupstwa wraz z koadjutorją krakowską objął Poniatowski, Sołtyk zaś w dniu 15 maja 1872 r wywędrował na zamek kielecki. Mam przed sobą wyjątki z korespondencji nuncjusza Archettiego ze Stolicą Apostolską, które informują cokolwiek o trybie życia i postępach choroby Sołtyka. Wedle nich tryb życia biskupa był „disordinato e stravagante". Zrozumiałe. Biskup kamieniecki A. Krasiński odwiedził go razu pewnego, ale nie miał odwagi przestąpić progów apartamentu szalonego biskupa, skąd dochodziły krzyki i gwałt, wszczynany przez biednego szaleńca. Niejaki Morelli, lekarska sława ówczesnej Warszawy (celebre in Varsavia per sua abilitá ed onoratezza), który odwiedził w Kielcach Sołtyka latem 1782 r., jak i jego lekarz przyboczny, już w tym czasie doszli do niezłomnego przekonania, że dni biskupa są policzone i że nie warto mu przedłużać życia sztuką lekarską (esser giunta la frenesia a tal segno, che sembragli inutile ormai il tormentarlo con rimedi). Mimo wyroku lekarskiego Sołtyk żył sobie jeszcze pełnych sześć lat. Śmierć przyszła go uspokoić w końcu lipca 1788 r. Posiadamy jej dokładny opis na podstawie rękopisu bib. Jagiellońskiej n. 1166, ciekawy dla historyka sztuki lekarskiej w Polsce. Nawet dla laika w sprawach medycyny jasny

jest żałosny jej stan podówczas i prymitywizm jej zabiegów. Mniejsza zresztą o to w niniejszem studjum.

Sołtyk zmarł w przededniu epokowego w zdarzenia i skutki Sejmu Czteroletniego. I stało się, że nazwiska Sołtyka, dobrze znanego w Polsce, użyto ze strony stronnictwa patrjotycznego Sejmu w celach agitacyjnych. W powodzi satyr, paszkwilów, pamfletów, ulotek, panegiryków, które się składają na bogatą literaturę polityczną Sejmu Czteroletniego, mamy do zanotowania trzy utwory, związane z nazwiskiem biskupa Sołtyka. Są niemi: „Odezwa popiołów ś. p. J. O. Księcia J. Mości Biskupa Krakowskiego" (druk współczesny, korzystam z odpisu rękopiśmiennego — rkp. Zamoyskich N. 926, str. 51—55), „Rozmowa Sołtyka, biskupa krakowskiego, z Garnyszem, podkanclerzym na polach Elizejskich" (druk współczesny, rkp. Krasińskich N. 5684), oraz „Rozmowa Sołtyka z Dekiertem, prezydentem warszawskim" (druk współczesny, rkp. Krasińskich N. 5648).

Najwcześniejszy pod względem chronologicznym, dość udatny wiersz „Odezwa popiołów", łączy się z początkowemi stadjami prac Sejmu Czteroletniego, przypadającemi na pomyślną dla Polski chwilę polityczną. Rosja uwikłała się podówczas w dość trudną dla siebie wojnę z Turcją. Stronnictwo t. zw. patrjotyczne, posiadające przewagę ilościową i jakościową w Sejmie, postanowiło skorzystać z tej sposobnej chwili, wyzwolić się z opieki rosyjskiej, która od ostatniego sejmu rozbiorowego trzymała Polskę w anachronicznym ustroju politycznym i przeprowadzić na Sejmie reformy, któreby uzdrowiły Polskę pod względem społecznym, nadewszystko zaś — politycznym: Początkowe uchwały Sejmu Czteroletniego, z okresu pierwszego roku jego istnienia, zmierzały właśnie do postawienia Polski na stopie państwa mocarstwowego. Reformami temi była uchwała o podniesieniu stanu liczebnego armji polskiej do 100 tys. żołnierza oraz wiążąca się z nią uchwała o opodatkowaniu szlachty na cele wojskowe. Z temi właśnie momentami politycznemi wiąże się treść naszego wiersza, który, jak przeważna ilość utworów muzy politycznej tych czasów, wyszedł z pod pióra jakiegoś anonimowego patrjoty. Autor cieszy się, że nadeszła wreszcie dla Polaków chwila, kiedy się będą mogli pozbyć „kształtnie włożonych kajdan":

Dzisiaj moment szczęśliwy, dzisiaj właśnie pole
Lub dźwignąć dawną sławę i dawne zaszczyty,
Lub z resztą paść ofiarą wściekłości niesytej;

cieszy się (wciąż za pośrednictwem zagrobowego głosu zmarłego niedawno kieleckiego więźnia) z dokonanych reform:

Już się odbił o moje śmiertelne mogiły
Ten okrzyk jednogłośny, by powiększyć siły,
Już widzę dziś zagrzane miłością umysły,
Czyniących z dóbr swych intrat porachunek ścisły.

Anonim nasz jest równie wymowny w tem miejscu swego utworu, w którem zwraca się do opozycji sejmowej, składającej się z naszej konserwy społeczno-politycznej, z prośbą o zgodę i jedność:

Senacie, w którym i ja niegdyś zasiadałem,
Z ojczyzną i rycerstwem stań się jednem ciałem,
Znoście się, mnie nic z tego, ojczyzna was prosi,
Ojczyzna swe omdlałe ręce ku wam wznosi.

Trudno odmówić naszemu patrjocie, przemawiającemu tak gorącemi słowami, szczerych intencyj, niezupełnie nawet niezgodnych z postacią Sołtyka, który miał przecież w swej przeszłości takie chwile, które mu wydzierały z piersi równie patrjotyczne eksklamacje, jak poniższa, stanowiąca finał wiersza:

Ojczyzno, radzę ci tak, jako mi się zdaje,
Nie mam już z Tobą związku, tylko że me kości
Ty, prawa matko, do swych przyjęłaś wnętrzności,
Lecz gdy dziś mój nieczuły trup na cię pamięta,
Znajdzież się żywa dusza, twem czuciem nietknięta?

Niestety, znalazła się i to niejedna w bardzo bliskiej przyszłości. Świadectwem rychła emigracja opozycji magnackiej z sejmu, przekształcającej się zwolna w związek targowicki.

Dwie „rozmowy”, wspomniane powyżej, stanowią w formie polskie echo lucjanowskich „rozmów”, w treści są ostrą rozprawą z tymże Sejmem Czteroletnim po dwuletnim okresie jego istnienia. Wiele się od tego czasu zmieniło w Polsce. Nic też dziwnego, że Sołtyk, przebywający już od dwu lat „na polach Elizejskich”, pragnął się czegoś dowiedzieć od swego kolegi Garnysza, niedawno zmarłego biskupa i podkanclerzego. Nie wiadomo, czy Garnysz rad był odrazu po wylądowaniu na drugiej stronie wód styksowych spotkać się oko w oko z Sołtykiem, którego przecież w charakterze członka delegacji królewskiej odsądzał od administracji diecezją krakowską i wysyłał na wygnanie kieleckie. Dlatego chyba „Rozmowa”

obu ziemskich antagonistów odrazu przybiera nieprzyjazny charakter i toczy się jakby na marginesie plotki, niedalekiej zresztą od prawdy obyczajowej polskiego osiemnastowiecza, dla kogoś, kto, jak np. Wasylewski, miał możność dogrzebać się jej z pod pyłu archiwalnego.

Posłuchajmy nieco i plotki, bo i ta czasem jest ciekawa i instruująca.

Garnysz w odpowiedzi nazbyt ciekawemu Sołtykowi co do przyczyn swej śmierci odpowiada z rozbrajającą szczerością, rzucającą niezbyt pochlebne światło na zbyt kawalerski tryb życia naszych dostojników kościelnych w w. XVIII, no i na poziom sztuki lekarskiej. „Przyjacielu, rzecz... z pierwszej lub z drugiej nabyta ręki, jest lepsza, ale jeżeli z tysiącznej — i przeto i moja — w Stolicy Świata (scil. Paryżu) nabyta, pielęgnowaniem w Polsce dojrzawszy, w Warszawie prędzej przecięła wątek dni moich”.

Nie te drobiazgi obyczajowe ani inne na temat smutnych dziejów gospodarczych biskupstwa krakowskiego po abdykacji Sołtyka stanowią treść zasadniczą „Rozmowy Sołtyka z Garnyszem”, która w istocie swej jest satyrą nie obyczajową, lecz satyrą polityczną, będącą generalną rozprawą z wynikiem dwuletnich prac Sejmu Czteroletniego, jakby bilansem satyrycznym jego obrad w latach 1788—1790. Bilans ten, niezbyt odbiegający od rzeczywistości historycznej, jest poprostu przerażający dla tego, ktoby chciał wydawać sąd o Sejmie Czteroletnim na podstawie takiej naprzykład entuzjastycznej czasami zapowiedzi, jaką się czyta we wskazanej powyżej „Odezwie popiołów”. Oto, jak wygląda ocena Sejmu pod piórem anonimowego autora „Rozmowy”. „Zniósł gwarancję, ale Prusakowi zanadto wierzyć zaczął. Uznał potrzebę 100.000 wojska, ale się ze skarbem i podatkami nie porozumiał, utworzył generałów niemało, ale się o ich zdatności nie przeświadczył. Wysłał ministrów do wszystkich Europy dworów, ale ich połowa siedzi jeszcze w Warszawie. Zniósł Radę Nieustającą, ale jakąś Straż zamyśla uchwalić. Zniszczył Rząd dawny, ale się na nowy zgodzić nie może. Bunty ukraińskie uśmierzył, ale obwinionego jeszcze nie znalazł. Ponińskiego z kraju wypędził, ale współwinowajców tknąć nie śmiał.... Zgoła wiele zaczął, ale nic nie dokończył”. Nie będę wchodził w uzasadnienie faktyczne dysproporcyj, jakie satyryk wynajduje między zamierzeniami Sejmu a jego osiągnięcia-

mi; chętny a łaskawy czytelnik znajdzie je w razie potrzeby gdzie indziej. [1])

„Rozmowa Sołtyka z Garnyszem” kończy się paszkwilowym akordem jak się od niego zaczęła. Sołtyk, widząc zbliżającego się do rozmówców również niedawno zmarłego prezydenta Warszawy Dekerta, pozbywa się Garnysza, odsyłając go do Eskulapa: widocznie niebieski lekarz miał znaleźć skuteczniejsze środki na dolegliwości Garnysza niż jego ziemscy koledzy.

Jeżeli „Rozmowa Sołtyka z Garnyszem” jest satyrą na polityczne dzieło Sejmu Czteroletniego, „Rozmowę Sołtyka z Dekertem“ uznaćby należało za rozprawę anonimowego autora z atmosferą społeczną, w jakiej wypadło działać Sejmowi Czteroletniemu i przeprowadzać swe reformy socjalne. Szczegółową relację z tej atmosfery, znajdujemy w informacjach, jakie daje Sołtykowi osoba dość kompetentna w tych sprawach, a mianowicie Dekert, sam wybitny i namiętny działacz społeczny z epoki Sejmu, gorący rzecznik wolności mieszczańskiej w Polsce. Ta satyra powstała w tej chwili politycznej, kiedy sprawa reformy miejskiej nie była jeszcze załatwiona, a kiedy jej załatwienia domagało się w sposób demonstracyjny nietylko mieszczaństwo warszawskie, ale i postępowa część społeczeństwa szlacheckiego z przywódcą mieszczan Kołłątajem na czele. Jasne jest, że w takiej atmosferze zrodzony utwór satyryczny musi posiadać akcenty mocniejsze, polemiczne, nawet demagogiczne, jako że pisany jest w celach agitacyjnych. Anonim nasz nie skąpi przeto gorzkich słów pod adresem szlachty, pochwały— pod adresem mieszczan. Jego Dekert w dosadny sposób piętnuje szlachtę, która „nieoświecona, najmizerniejszą łachmaną odziana, bez zasług, cnoty i talentów, tak jest dumna jak sułtan turecki na tronie i tak despotyzm swój nad ludem rozciąga, że ani praw natury, ani cywilnych nie słuchając, idzie naoślep, gdzie ją uprzedzenie prowadzi, pogardzając podobnemi sobie i w niczem nieodmiennemi jestestwami“. Równie mało interesująco przedstawia się szlachta dla Dekerta na polu politycznem, jako zwolenniczka wolnej elekcji i innych fetyszów staroszlacheckiej wolności politycznej. Odrodzenie dla Polski może sprowadzić jedynie rozciągnięcie swobód obywatelskich na sfery mieszczańskie w Polsce, przedewszystkiem

[1]) Juljusz Nowak. Satyra polityczna Sejmu Czteroletniego. Kraków 1933.

otwarcie dla mieszczaństwa dostępu do urzędów państwowych i danie mu możności nabywania dóbr ziemskich. Dezyderatom Dekerta miało się stać zadość niebawem, choć mieszczanin polski nie otrzymał tyle, ile pragnął dla niego nasz anonim — demokrata rewolucyjnego typu francuskiego.

Głos zagrobowy Sołtyka i jego elizejskich interlokutorów, jaki słyszeliśmy w cytowanych urywkach poezji politycznej, idący po linji pragnień lepszej części społeczeństwa polskiego, przynajmniej częściowo dotarł do świadomości polskich „legislatorków" epoki Sejmu Czteroletniego.

JULJUSZ NOWAK.

PAŁAC POBISKUPI W KIELCACH

Pałac pobiskupi w Kielcach uległ w biegu dziejów, a szczególnie podczas rosyjskiego zaboru licznym przeróbkom, które zeszpeciły go i pozbawiły wielu bardzo pięknych i charakterystycznych cech stylu.

Po wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, pałac mieści w sobie urząd wojewódzki, jest więc gmachem reprezentacyjnym i tej okoliczności zawdzięcza, że okazuje mu się więcej dbałości niż wielu innym zabytkom sztuki podobnego rodzaju. Wielka wartość artystyczna zabytku przemawia sama za siebie, to też łatwo było dojść do przekonania o konieczności przywrócenia mu pierwotnego pięknego wyrazu.

Dzieło odbudowy zaczął już p. wojewoda Bilski. — Przedewszystkiem należało zabezpieczyć przepiękny belkowy strop t. zw. sali portretowej na I piętrze. Paręsetletni wiek spowodował pewne wygięcie belek. Umocnienia i sprostowania ich dokonano przez podwieszenie środka stropu zapomocą mocnej kratownicy żelaznej zgóry na strychu. Przy tych robotach zauważono, że cenna zabytkowa polichromia belek w wielu miejscach zaczyna odpryskiwać. Kierujący robotami panowie konserwatorzy ś. p. St. Chrościechowski i Jerzy Remer zarządzili naprawienie jej oraz nasycenie fundamentalnie utrwalającemi środkami. Pracę tę wykonał z dobrym wynikiem kielczanin, artysta malarz Henryk Czarnecki nauczyciel seminarjum, dyplomowany uczeń Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych. Żelazne roboty zabezpieczające, prowadził miejscowy budowniczy Leon Kuszewski.

Drugiem zasadniczem posunięciem odbudowy było gruntowne odnowienie frontowej ściany gmachu. — Wielokrotne nawarstwienia tandetnych poprawek i malowań odbito aż do podłoża i wyprawiono nanowo trwałym materjałem. Pozatem oczyszczono z kilku warstw bielenia wapnem piękne jasno piaskowcowe obramienia okien, szczerby załatano ciosem. Naprawiono i oczyszczono ozdobne marmurowe zewnętrzne portale frontowej loggji oraz wejść na pokoje pałacu. Przy tych robotach odkryto paradne schody prowadzące na piętro wprost z loggji. Wejście to restytuowano a skasowano dotychczasowe boczne z wieży po-

łudniowej. W tym czasie dzięki inicjatywie p. Kuszewskiego, przeniesiono do pałacu z powrotem dwa portale wzięte stąd do cerkwi przez Moskali.

Bardzo wiele zasłużył się dla restauracji pałacu ś. p. wojewoda Ign. Mannteuffel. Jego staraniom zawdzięcza się przywrócenie dwu chełmów na wieżach wschodnich. — Rysunek ich, możliwie dokładnie odtworzony z materjałów posiadanych przez kieleckie muzeum krajoznawcze, zatwierdził ostatecznie Szyszko-Bohusz. Robotę ciesielską wykonał majster kielecki Sarnot. — Duże znaczenie miało następnie przekrycie dachu: zamiast zniszczonej blachy położono czerwoną dachówkę, sprowadzoną z Pomorza. Dzięki tym dwu kapitalnym posunięciom odzyskała swój pierwotny wygląd przynajmniej licowa fasada gmachu. Brakuje tylko posągów przy obeliskach na gzymsie bocznych murków na wysokości I piętra. Dla całości robót należało przerobić frontowy dziedziniec zaniedbany, po prostacku urządzony przez zaborców. Przy współudziale inspektoratu plantacyj m. Warszawy nadano mu zupełnie inny wygląd przez zamianę niekształtnego zadrzewienia na dywanowe trawniki z małemi kępami krzewów.

Dalszy ciąg robót renowacyjnych wszczął obecny wojewoda dr. W. Dziadosz. Zaczęto od umacniania stropów I piętra. Okazało się bowiem, że niektóre z nich groziły zawaleniem wskutek zniszczenia przez grzyb głowic belek tkwiących w murach. Najpilniejszą była sala z byłych osobistych komnat biskupa Zadzika z południowej strony sali portretowej. Przy szczegółowych oględzinach belek zgóry na strychu, prowadzący roboty konserwatorskie szef oddziału budowlanego inż. St. Brok-Klonowski oraz budowniczy L. Kaszewski spostrzegli, iż mają one na sobie dobrze zachowaną polichromję, niewidoczną od dołu z sali gdyż przy jakiejś dawnej przeróbce belkowanie stropu zakryto niżej umieszczonym lustrowym stropem, wspartym na drewnianych krążynach. — Nieoczekiwane odkrycie poruszyło miejscowe społeczeństwo. Ku powszechnemu zadowoleniu zainteresował się żywo odkryciem również i p. wojewoda. Zdecydowano usunąć niższy sufit i przywrócić sali pierwotne polichromowane belkowanie. W trakcie tej pracy stwierdzono istnienie fryzu biegnącego wokół sali pasem szerokości mniej więcej 1,5 metra. Zaproszeni konserwatorzy: generalny p. J. Remer i okręgowy dr. Andrz. Oleś zdecydowali, iż polichromia belkowania i fryz przedstawiają dużą wartość zabytkową i zaproponowali p. Wojewodzie możliwie całkowitą rekonstrukcję sali. Myśl ta spotkała się

z najbardziej przychylnem stanowiskiem p. wojewody. — Roboty renowacyjno-malarskie powierzono p. H. Czarneckiemu już poprzednio zatrudnionemu przy utrwalaniu polichromji sali portretowej. W toku pracy okazało się, że dwie belki i deski wypełniające przestrzeń między niemi były niemal zupełnie spróchniałe a u innych nadpróchniały zakończenia tkwiące w murach. Wypadło kilka wymienić, żaś uszkodzone końce wzmocniono zdrowemi klocami, poczem podniesiono umiejętnie obmyślanym sposobem na żelaznych grubych dźwigach. — P. H. Czarnecki z wielkim pietyzmem oczyścił zdrowe belki, poczem umocnił na nich malaturę, podobnie jak uprzednio uczyniono to z belkami stropu portretowej sali. Polichromię nowych belek wzorowano dokładnie według starych. Całość przedstawia się po odświeżeniu bardzo efektownie i gustownie. Strop gra barwą i linją, żywy ale pełen umiaru artystycznego. Belki są fazowane, stwarza to wielość powierzchni. Każda pokryta ornamentem wzajemnie się uzupełniającym. Wśród arabesek ornamentalnych są wplecione pola wypełnione obrazkami scen rodzajowych: myśliwskie, stracenie przestępcy, pejzaże, zwierzęta, ptaki. Koloryt dominujących barw złotawej i niebieskawej doskonale sharmonizowanych, ciepłych choć przyćmionych. — Bardzo pracowicie odrestaurowany fryz wyobraża szereg barokowych kartuszów z herbami oraz scenami alegorycznemi, symbolicznemi — typowe dla XVII wieku. Jedna z nich przedstawia koronę, berło, jabłko oraz czaszkę z siedzącą na niej sową. — Nieznany autor fryzu i polichromji belek był mistrzem dekoracyjnego malowania. Uderza oko pewna odręczność i naiwność rysunku, która przy wysokiej umiejętności technicznej artysty sprawiają, że krzywizny dają piękną płynność pasowego ornamentu. W dbałości o efekt, mistrz nadał kolorom fryzu cokolwiek zimniejszy ton i przez to podniósł żywość złotawej barwy stropu. — Fryz i strop malowane były temperą.

Przy odtwarzaniu fryzu musiano pokonać wielką trudność na ścianie północnej. Nie dało się tu odczyścić ostatecznie starych fragmentów. Zresztą ściana była przeniknięta grzybem tak, że należało usunąć zupełnie tynk, napoić ścianę środkami dezynfekującemi a następnie dopiero nanowo otynkować. Zgodnie z życzeniem gospodarza pałacu, uzupełniono brakującą na tem nowem podłożu część dawnego fryzu kompozycją o cechach aktualnych. Jednolitość ornamentalną w zasadzie zachowano, koloryt również. Analogicznie do ściany przeciwległej umieszczono i tu na

miejscu środkowem tarczę. Zamiast herbu mieści ona monogram J. P. Po bokach sylwety strzelców. Jedno z pól w pasie ornamentu wypełniono obrazem przedstawiającym Nike Legjonów, drugie znów alegorją poezji i malarstwa z tłem pejzażu zamku Czorsztyna. — Ogólna kompozycja tej sceny fryzu jest dziełem p. H. Czarneckiego. Obrazy pól projektowali i wykonali: współpracowniczka jego — artystka Malinowska Halina oraz konserwator Oleś Andrzej. Ściany sali pomalowano gładko w chłodnym tonie przebijających barw niebieskawej i zielonawej, tworzących coś w rodzaju mory. Osiągnięto dobry efekt, całość podkreśla fryz a przedewszystkiem strop. Przy badaniu tynków tej sali natrafiono na jakieś otwory wentylacyjne, znaleziono też ukrytą w tynku płytę z lanego żelaza, która była tylną ścianą kominka sąsiedniej sali, tworzyła więc ciekawy system ogrzewania. Płyta pokryta ozdobami stylowemi empire. W środku herb Załuskich, w rogach orły. Przypuszczalnie była odlana w pobliskim Białogonie. Pozatem są jeszcze w tej sali dwa skromne kominki. — Urządzając salę na gabinet p. wojewody, zawieszono na ścianach świeczniki a pod stropem stary żyrandol. — Sala po wykończeniu ujmuje swym charakterem i pięknem.

Równie dobrze zapowiada się efekt prowadzonych jeszcze robót rekonstrukcyjnych w sali portretowej. — Przedewszystkiem uzupełniono techniczne zabezpieczenie belek. Następnie przystąpiono do kapitalnej pracy usunięcia tych malarskich poprawek, które w ciągu dziejów zniszczyły charakter artystyczny malowania ścian. Sądząc po artystycznej polichromji wspaniałego belkowego stropu nie można się było zgodzić, by zajmujący górną część ściany podwójny szereg portretów biskupów krakowskich, odpowiadał w swym wyrazie pierwotnemu charakterowi dekoracji tej pięknej sali. Chodziło przedewszystkiem o oprawę portretów. Miała ona wygląd banalny, nieartystyczny. Wszczęte poszukiwania pod wierzchnią powłoką farby, wykonane umiejętnie przez p. H. Czarneckiego dały ciekawe rezultaty. Odkryto fragmenty ornamentacyjne, które doprowadziły przez rekonstrukcję do stworzenia z górnego szeregu portretów bardzo ładnego fryzu, doskonale odpowiadającego polichromji stropu i stonowanego z nim. Osiągnięto efekt, który w niewiarogodnej mierze zmienia dotychczasowe oblicze sali portretowej. Odkryto również i pierwotny wyraz samych portretów, odtworzono jednak tylko jeden dla celów dokumentalnych. Cele dekoracyjne nie czynią koniecznem odtwarzania wszystkich. Zmatowano

jeno ich werniksowy połysk. Nie rozstrzygnięto dotychczas co czynić z drugim dolnym szeregiem portretów, wyraźnie nienależących do pierwotnej artystycznej dekoracji sali.

Zaznaczony dopieroco przewrót kardynalny w wyglądzie sali odnosi się do zmiany na trzech ścianach. Czwarta, z oknami — właśnie z powodu nich — musiała mieć ramę dekoracyjną, częściowo rozbitą wysokiemi framugami. Poszukiwania doprowadziły do jeszcze większej rewelacji. Okazało się, że dotychczas istniejący tu pas portretów biskupich — z pierwszych czasów polskiego chrześcijaństwa — zupełnie nie istniał pierwotnie. Biegł tu natomiast fryz złożony z innych elementów. Znaleziono mianowicie wcale niezłe portrety Jana Kazimierza, Władysława IV oraz biskupów Zadzika i Gębickiego, pozatem fragmenty obrazu jeźdźców oraz jakichś zamków i grodów, a następnie elementy ornamentalne. Z tego wszystkiego zrekonstruowano udatnie fryz będący dopełnieniem opisanej fryzowej dekoracji 3 ścian.

Z robót przeprowadzonych w sali portretowej należy jeszcze wymienić umieszczenie marmurowych parapetów przy oknach i danie zupełnie nowej dębowej posadzki o skromnym wzorze ornamentacyjnym. — Odnowiono też marmury odrzwi.

Zupełnie odrębnie potraktowano salę przylegającą do portretowej od wschodu. Jest ona tak samo wielka jak poprzednia. Dotychczas nie widziało się tego, gdyż była ona poprzedzielana różnemi prowizorycznemi ścianami i ściankami. Usunięto je wszystkie, zdecydowano nadać jej charakter współczesny, poważny, licujący z charakterem pałacu. Otrzymała nazwę rycerskiej. Współdoradcą jej urządzenia jest p. W. Jastrzębowski. — W sali tej utworzono dużą niszę w ścianie północnej nawprost pozbawionego drzwi wejścia z paradnych schodów. W niszy stanie posąg Marszałka J. Piłsudskiego. Będzie ona wyłożona marmurem. Obramienie posągu stworzą marmurowe kolumny, gzyms oraz kartusze z orłem i herbem Marszałka. Dekoracja i umeblowanie sali są w opracowaniu. Sufit jej pozostanie gładki, dotychczas istniejący.

Rozmach przedsiewzięć p. wojewody, został uwieńczony jeszcze jednem odkryciem, a mianowicie znaleziono pod tynkiem dawny fryz i polichromowany strop belkowany, również w sali przylegającej do rycerskiej od strony północnej. Należała ona pierwotnie do komnat gościnnych.— Przed zakryciem belkowania lustrowym sufitem, belki bielono wapnem. Polichromia spoczywała pod warstwami bie-

lenia i zachowała się bardzo dobrze. Ma ona znowu inny charakter, niż w salach poprzednich. Dokładnie dotąd nieoczyszczona, nie pozwala mówić o kolorycie. Rysunek ma może cokolwiek prostszy. Uderza mnogość doskonale malowanych ptaszków i zwierzątek wypełniających pola wśród arabesek ornamentu. Fryz na ścianach — w dzisiejszem stadjum odsłaniania z pod tynku — wydaje się być ciekawszy od opisanego wyżej. Dobrze się odsłonił między innemi jeden ciąg przedstawiający alegorycznie błogosławieństwo rolnictwa z podpisem łacińskim. — Salę te, również zamierza p. wojewoda rekonstruować od gruntu. Roboty są w toku.

Prace konserwatorskie prowadzi się też na schodach paradnych i w kurytarzyku, prowadzącym z sali rycerskiej do dawnych prywatnych pokojów biskupich. Przy tym kurytarzyku odrestaurowano jedną ciekawej formy ścian i stropu komnatę, która wygląda na kapliczkę domową. Dla zupełności niniejszej notatki należy jeszcze dodać, że bada się szczegółowo wiązanie drewniane imponującego dachu pałacu. Wszelkie braki i osłabienia usuwa się w sposób fundamentalny, obliczony na wieki trwania, podobnie jak trwają obecne zdrowe części. Uszkodzenia wszystkie pochodzą z dawnego zaciekania dachu, co zostało usunięte w drugiej fazie robót konserwatorskich za wojewody Manteuffla. Zaciekanie dachu doprowadziło do zagnieżdżenia się grzyba. To też obecnie impregnuje się odkażająco belki i wystające mury na strychu. Usunięto też zakażone rumowisko polepy. Było go bardzo dużo — kilkaset furek. Ma to i tę dobrą stronę, że odciążyło się od nadmiernego ciężaru stropy, które wyraźnie odprężyły swe wygięcia dolne. Fachowcy uważają że to odgięcie się parusetletnich belek stropu świadczy o ich dobrym stanie zachowania, wyrazem czego jest ta ich elastyczność. Zamiast ciężkiej rumowiskowej polepy, daje się teraz płyty heraklitowe dla utrzymania zadań cieplno-izolacyjnych stropu.

Wszystkie roboty w pałacu prowadzi się pod kierownictwem konserwatora okręgowego dr. Andrzeja Olesia, a w rzeczach zasadniczych — generalnego p. Jerzego Remera. Planowem wykonaniem kieruje szef oddziału budowlanego województwa p. Stan. Brok-Klonowski przez budowniczego p. Leona Kuszewskiego.

EDMUND MASSALSKI.

Z PAMIĘTNIKÓW KIELCZAN

WSPOMNIENIE O DR. HENRYKU PODOWSKIM

Podczas pobytu mego od r. 1893 na wydziale lekarskim w Warszawie byłem przez jakiś czas korepetytorem w domu ś. p. Dr. Podowskiego, mieszkającego wówczas już, jako emeryt, przy ul. Nowy-Świat N. 4. Dawałem lekcje wnukowi jego ś. p. Stefanowski Modlińskiemu. Ponieważ za lekcje te miałem obiady, była więc sposobność poznania bliżej tego domu i samego pana Doktora, który już wtenczas zbliżał się do 90-tki, ale rzeczy dawne, jak to zwykle bywa, pamiętał dobrze i lubił opowiadać, a miał ze mnie pilnego i chętnego słuchacza, bo otoczenie jego znało już te wszystkie historyjki oddawna i zwykle po obiedzie zostawiało nas samych.

Otóż ś. p. Doktór Podowski opowiadał mi, że wydział lekarski skończył w r. 1828, a zatem na dwa lata przed rewolucją. Nie kontentując się otrzymanym dyplomem w Warszawie, często wyjeżdżał zagranicę, mianowicie do Niemiec i Francji, gdzie studjował dalej i pracował w Hôtel Dieu w Paryżu, który naonczas był jednym z pierwszych szpitali Francji. Często wspominał luminarzy medycyny, jacy wtenczas byli głośni na świat cały. Francję ubóstwiał i często opowiadał o pierwszej swej wycieczce do niej na Kraków, Wiedeń i Monachjum. Pamiętał ten piękny poranek, kiedy poraz pierwszy przejeżdżał granicę pod Krakowem tembardziej, że to był i poranek jego życia. „Zdawało mi się, mój drogi, mówił, że cały świat leży u moich nóg". Był młody, bo jeszcze nie przeszedł 30-tki, wolno mu więc było i marzyć i śnić. Łzy było widać w jego oczach, kiedy mi to opowiadał.

Paryż, życie paryskie, świat ówczesny, zaimponowały mu bardzo. Uniwersytet, bibljoteki, muzea, teatry, teatrzyki nawet restauracje paryskie wszystko to go oszołomiło. Podziwiał zręczność służby w jadłodajniach. „Powiadam ci, mój drogi, taki kelner, nosił całą gromadę talerzy z zupą, jeden na drugim i nikogo nie oblał, nic nie stłukł, jak ta obecna niezgrabna nasza służba, a wszystko to wykonane było z wesołością i uprzejmością iście gallijską".

W wenerologji wtenczas, której się ostatecznie poświęcił, był kompletny chaos. I ulcus durum, i ulcus molle i gonorrhoe to wszystko wtenczas była jedna choroba. Dosyć było, by cierpienie—zupełnie nic wspólnego z wenerją nie mające, ale było umieszczone na organach płciowych, jak np. egzema, carcinoma, sarcoma, tuberculosis, aby wszystko było zaliczane do chorób wenerycznych. „Ileż to, mówił, trzeba było czasu i studjów, aby to wszystko wyświetlić, zbadać, opisać i skategoryzować?"

Przed rewolucją 30-go roku był wzywany do księcia Konstantego, o którym opowiadał mi swoje i innych przygody. Kiedyś, wyszedłszy z kamienicy do chorego, chciał wsiąść do swego powoziku, ale jakiś zdyszany oficer przeprosił go i wskoczył do jego ekwipażu, każąc się wieźć galopem stangretowi. Został Podowski sam na ulicy i, usłyszawszy tętent ciężkiego powozu księcia, domyślił się, co ta ucieczka oficera znaczyć mogła. „Doktorze, czy tu przeleciał oficer koło ciebie?" „Tak wasza cesarska wysokość! nietylko przeleciał, ale mi złapał powóz i uciekł!" A to łotr! Ale ja go złapię!" powiedział książę i pojechał dalej.

Ostatecznie nie złapał tego oficera, który potem złożył wizytę Podowskiemu i przeprosił go za śmiałość, ale nie miał innego wyjścia, bo książę znany był z surowości. Kiedyś podczas przeglądu rekrutów na Placu Saskim Konstanty sam osobicie dobierał sobie ludzi do czwartego pułku, który specjalnie lubił. Rekruci, często wprost od pługa, stali szeregami. Raz kiedy książę przechodził koło jakiegoś oddziału, jakiś rekrut roześmiał się głupio, trącając kolegę. Konstanty nie zwrócił na to uwagi, ale kiedy, idąc z powrotem, usłyszał to samo, spytał się ostro: „czego się śmiejesz?" „A bo, wielmożny panie, wyglądacie w tym spencerku jak małpa!" Można sobie wyobrazić sytuację i oburzenie ogólne. Konstanty jednak był w dobrym humorze i roześmiał się sam na całe gardło, a z nim i świta cała, a dorodnego chłopaka kazał książę zapisać do czwartego pułku piechoty, dodawszy: „teraz i ty będziesz w takim spencerku chodził i wyglądał jak małpa!"

Kiedyś podszas rewji na Placu Saskim powiadomiono księcia, że jakiś Anglik turysta chciał mu być przedstawionym. Książę się zgodził i udzielił mu posłuchania przed frontem. Na zapytanie Konstantego, coby sobie ów Anglik od niego życzył, ten ostatni odpowiedział: „Wasza cesarska wysokość! Przybyłem specjalnie, aby zobaczyć człowieka, który wyrzekł się korony cesarskiej, dla otrzymania której ludzie popełniali tyle zbrodni i świństw prze-

różnych". Książę serdecznie się uśmiał i uprzejmie pożegnał Anglika turystę.

Kiedyś, jadąc sankami, złapał Konstanty żołnierza z 4-go pułku bez przepustki. „Stawaj, durniu, ztyłu i trzymaj się mojej peleryny, bym czuł, żeś nie uciekł". Jakież było zdziwienie księcia, kiedy zajechał przed koszary czwartaków! Wstać z sani nie mógł i zawołał: „No, puszczaj pelerynę!" Ale peleryna była mocno obmotana koło haka od fartucha sani, a z czwartaka ani śladu!

Cała historja była z rozstawianiem wart w Belwederze! Dla oficerów i żołnierzy była to istna męka. Każdy guzik, każdy pasek, podpinka, karabin, bagnet, były dziesięć razy zrewidowane i poprawiane, nim wartownicy zajęli swoje miejsca. Zwyczajem było, że dyżurny oficer jadał wspólnie z księstwem, żołnierze zaś dostawali jedzenie razem ze służbą pałacową. Między godziną 5 a 6 popołudniu był podwieczorek dla wszystkich w postaci białej kawy z bułką.

Jakiś „Jasio" stał na warcie na ślizgiej podłodze przy ścianie przed bardzo drogim weneckim lustrem, które niedawno podarowała pani Konstantowej, wracając z zagranicy, żona Aleksandra czy Mikołaja. Książę w dobrym humorze przechodził przez salę z jakimś jenerałem. „Jasio" stanął na baczność, sprezentował broń, ale tak nieudolnie, że bagnetem uderzył w owo weneckie lustro, zrobiwszy tęgą gwiaździstą dziurę. Konstanty był prędki i podskoczył z kułakami do nieszczęśliwego chłopaka, który miał bardzo żałosną minę i do reszty stracił przytomność. „No, co teraz z tobą zrobić?" — krzyknął książę. „Melduję posłusznie, posłać na kawę", odpowiedział księciu biedny żołnierz, który miał nabitą głowę różnemi instrukcjami. Książę momentalnie się udobruchał i, wziąwszy pod rękę wystraszonego również jenerała, powiedział: „Tak! Jeszcze po tem wszystkiem posłać go na kawę!" Swoją drogą żołnierz dostał i kawę i pakę, ale posterunki na przyszłość ustawiano zdala od luster i wogóle szkła.

W listopadzie 1830 roku wybuchła rewolucja. Podowski pracował w szpitalach, między innemi w szpitalu ad hoc urządzonym w obecnym gmachu Ministerjum Komunikacji na rogu Nowego-Światu i Alei 3-go Maja.

Pamiętał scenę, kiedy po strasznym wybuchu reduty na Woli i jaszczyków z ładunkami w jakiś czas przez Aleje Jerozolimskie od Woli zaczęła wkraczać kawalerja rosyjska z Kozakami na czele i skręcała w Nowy-Świat ku placowi Ujazdowskiemu, gdzie z dzikiemi śpiewami stanęła

biwakiem. W szpitalu tym leżał wtenczas synowiec jenerała Skrzyneckiego z amputowaną nogą. Kiedy wszyscy przerażeni skoczyli do okien, zerwał się młody Skrzynecki, a zobaczywszy triumfujących Moskali, zerwał opatrunek z nogi i kiedy personel sanitarny odwrócił się, biedny oficer już nie żył z powodu upływu krwi.

Po nieszczęśliwej rewolucji jak również jeszcze po wojnach napoleońskich, Venus zapanowala w Polsce. Wobec znacznej ilości wojsk, zwrócono uwagę komu należy, że opieka nad chorymi tego rodzaju jest niedostateczna i że trzeba założyć szpital specjalny. Już Aleksander I i Mikołaj I byli gorącymi promotorami tej myśli. Ten ostatni zawsze zwiedzał szpitale gdziekolwiek był.

Wysokie i wpływowe zajmował wtenczas stanowisko w administracji kraju hrabia Skarbek, osobisty przyjaciel ś. p. Dr. Podowskiego. Dzięki tym ludziom powstał ten piękny i wspaniały gmach, ich energji zawdzięcza ukończenie i oddanie na pożytek cierpiącej ludzkości.

I Skarbek, i Podowski jeździli razem zagranicę, przyglądali się, studjowali, planowali i dzieła tego dokonali. Ze łzami w oczach wspominał Podowski zawsze hrabiego Skarbka i chwalił jego dobroczynną działalność dla kraju. Podowski był pierwszym dyrektorem tego szpitala, tu przez długi czas pracował, tu obchodził jubileusz 50-letniej pracy lekarskiej i tu wysłużył emeryturę. Ze swej prywatnej praktyki opowiadał mi parę wesołych historyjek, które jako charakterystyczne przytaczam. Był kiedyś wezwany do jakiejś starszej damy i kiedy między innemi, zapytał ją ile ma lat, otrzymał mało uprzejmą i ostrą odpowiedź: „Jeżeli pan doktór będzie się pytał kobiety o jej wiek, to nie będzie pan miał żadnej praktyki. Po pierwsze żadna kobieta nie powie panu prawdy, po drugie nigdy pana doktora już drugi raz nie wezwie”.

Często opowiadał o „zającu” przyczem śmiał się serdecznie. Otóż byli sobie dziadkowie bardzo zamożni i mili i była wnusia bardzo ładna, wesoła i również miła, a była dziadków dumą, pociechą i rozrywką. Kiedyś w nocy wezwano Podowskiego do dziadków, którzy mieli bardzo stroskane miny i jedno przez drugie zaczęli opowiadać Podowskiemu, że wnusia w nocy dostała boleści, bo wczoraj zjadła zadużo zająca i widocznie jej zaszkodził. „Zając, nie zając muszę chorą zbadać” i, odsunąwszy staruszków, zamknął drzwi za sobą na klucz pod nosem dziadków, którzy zaczęli się energicznie dobijać, a Podowski, usłyszawszy kwilenie noworodka, przemienił się w akuszerkę

i zrobił wszystko co do niego należało. Ucałował i uspokoił biedną młodą matkę i otworzywszy drzwi, wyszedł do dziadków, którzy rzucili się na niego ze słowami: „to taki zając!!” — „Zając”, odpowiedział Podowski, zamknąwszy oczy i rozłożywszy ręce. Winowajca się znalazł, odbył się ślub i było to bardzo szczęśliwe i pobłogosławione wielu dziećmi, sympatyczne stadło.

Kiedyś był wezwany Podowski do chorego księcia Paskiewicza, który cierpiał na lues hepatis. Po zbadaniu chorego rzekł: „To wątroba mości książę”. — „O nie doktorze, to Sylistrja”. Sądząc, że chory bredzi, opowiedział kolegom na konsyljum o tem, a ci wyjaśnili, że to nie bredzenie, tylko że Paskiewicz rzeczywiście rozchorował się na wątrobę podczas ostatniej wojny tureckiej. Mianowicie basza Sylistrji, obleganej przez Rosjan, wziął łapówkę i miał łatwo wydać fortecę Paskiewiczowi. Rozumie się sam kwiat młodzieży rosyjskiej ruszył do szturmu, łudząc się nadzieją łatwego zdobycia miasta, tymczasem basza nietylko że wziął pieniądze, ale skartaczował oddziały rosyjskie, przyczem masa zginęło i bardzo dużo było rannych, a Sylistrji Moskale nie dostali.

Na starość czytywał Paul de Kok'a. „Wiesz mój kochany, tak mnie ta ziemia ciągnie do siebie, tak mi smutno, że umierać trzeba, że rozweselam się Paul de Kok'iem, którego znałem osobiście w Paryżu i który mnie bawi na starość”.

Opowiadał mi również o karjerze jednego z lekarzy francuskich. Kiedyś w Paryżu spotkał jakiegoś młodego dżentelmena z czerwoną kokardką w klapie surduta, który mu się bardzo elegancko ukłonił i poszedł. „Pan doktór mnie nie poznaje? Jestem ten i ten, podczas rewolucji byłem w Warszawie felczerem w jednym ze szpitali dla chorych cholerycznych za Łazienkami, gdzie pracowałem pod panem doktorem”. Podowski przypomniał sobie. Był to młody żydek, który po rewolucji wyruszył z wojskiem polskiem zagranicę. Tam też grasowała cholera. Francuzi bali jej się bardzo, leczenia właściwie nie było żadnego, lekarze francuscy nie wchodzili na salę chorych, oglądali ich przez okienka w drzwiach i badali pałeczkami ze słoniowej kości. Młody adept medycyny zaczął leczyć po polsku, to jest jak widział u Podowskiego. Przedewszystkiem otworzył salę, zmusił personel sanitarny do roboty, zaczął stosować gorące wanny, rozcierania i t. p. Procent śmiertelności spadł odrazu znacznie. Panika ustała. Francuzi wrażliwi na czyny bohaterskie ogłosili go za „un he-

ros polonais", dostał legję honorową do klapy, ułatwiono mu zdanie egzaminu dojrzałości i skończenie wydziału lekarskiego w Paryżu.

„Ożeniłem się, panie doktorze, z córką bogatego przemysłowca i mam obecnie w Paryżu pierwszą praktykę (praxim auream). Tak, panie doktorze, zrobiłem karjerę życiową dzięki panu" zakończył wdzięczny kolega.

Tę garść wspomnień o ś. p. doktorze Henryku Podowskim uważałem za swój obowiązek przedstawić Szanownym Kolegom.

DR. WACŁAW RAKOWSKI

Warszawa, 6 września 1834 r.

PARCZEWSCY

W drugiej połowie wieku ubiegłego i na początku obecnego znana była w Kieleckiem rodzina Parczewskich: Czterech było braci Parczewskich: Konstanty zamieszkiwał i urzędował w Pińczowie, a następnie w Kielcach, Bronisław — w Pińczowie, Kielcach, Olkuszu i Jędrzejowie, Józef gospodarował na wsi najpierw w Proszowskiem, a następnie w jędrzejowskiem, wreszcie czwarty brat Zygmunt, który w 1874 r. ukończył gimnazjum kieleckie, mieszkał przez jakiś czas jako emeryt w Jędrzejowie. Wszyscy Parczewscy cieszyli się ogólnym szacunkiem i sympatją. Dwaj bracia Parczewscy Bronisław i Józef brali wybitny udział w powstaniu narodowem 1863/4 roku w swoich stronach rodzinnych na Polesiu w kobryńskiem.

Bronisław był w partji kobryńskiej Romualda Traugutta oficerem i adjutantem Traugutta, a następnie w partji Walerego Wróblewskiego pomocnikiem i zastępcą Wróblewskiego. Ukończył on przed samym wybuchem powstania wyższą szkołę wojskową w Petersburgu i po ukończeniu szkoły, lecz jeszcze przed otrzymaniem rangi oficera, na wiadomość o wybuchu powstania złożył podanie o zwolnienie z wojska. Dyrektor szkoły, jenerał rosyjski otrzymawszy podanie Parczewskiego, wezwał go do siebie i odradzał wystąpienie z wojska, nadmieniając; że domyśla się dlaczego opuszcza on wojsko rosyjskie, a mianowicie ażeby wziąć udział w powstaniu polskiem, że rozumie jego pobudki jako polaka, że jednak radzi zaniechać tego zamiaru, gdyż powstanie polskie nie ma żadnych szans powodzenia, a pozostając w wojsku rosyjskiem może liczyć, jako jeden

z najzdolniejszych wychowańców szkoły, na świetną wojskową karjerę.

Naturalnie przekonywania dyrektora nie odniosły żadnego skutku. Przy końcu swego życia miał Parczewski bardzo wzruszającą chwilę, mianowicie znalazł się on jako gość na wieczornicy Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Wieczornice, urządzane przed wojną przez Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie, miały zwykle charakter patrjotyczny i odznaczały się nastrojem podniosłym. Na wspomnianej wieczornicy obecny tam redaktor Gazety Warszawskiej Stanisław Lesznowski, dowiedziawszy się, że Parczewski był powstańcem i adjutantem Traugutta, wniósł w gorących słowach toast na cześć Parczewskiego. Toast ten został przez uczestników wieczornicy przyjęty z entuzjazmem a obecny tam również adwokat Horodyński, ten sam, który pierwszy w 1904 r. wystąpił w Sądzie Warszawskim z przemówieniem obrończem w języku polskim, podszedł do Parczewskiego, a stając przed nim na baczność i meldując się jako były powstaniec i żołnierz złożył mu należny hołd. Chwila ta była naprawdę wzruszająca i wywarła silne wzruszenie na obecnych.

Józef Parczewski w chwili wybuchu powstania był studentem uniwersytetu. Opuściwszy uniwersytet, wstąpił do partji kobryńskiej; ciężko raniony i posiekany szablami w potyczce z wojskiem rosyjskiem cudem tylko uniknął śmierci.

Konstanty Parczewski w chwili wybuchu powstania był oficerem artylerji w Rosji. Dowiedziawszy się o wybuchu powstania natychmiast podał się do dymisji, lecz zanim został zwolniony z wojska i wrócił do kraju powstanie wygasło i wziąć w nim udziału już nie mógł.

Bronisław i Józef Parczewscy zgłosili się do oddziału kobryńskiego jeszcze przed objęciem dowództwa nad oddziałem przez Traugutta i pomagali w organizowaniu tego oddziału swemu wujowi, rodzonemu bratu matki, Janowi Mitraszewskiemu, jednemu z głównych organizatorów oddziału kobryńskiego, późniejszemu naczelnikowi miasta Kobrynia i powiatu kobryńskiego z ramienia Rządu Narodowego. (Metalowa okrągła pieczątka z orłem i pogonią w środku oraz z napisem „Rząd Narodowy — Naczelnik M-ta Kobrynia" znajduje się obecnie na Bielanach w zbiorach ks. Marjanów wśród wielu ciekawych pamiątek i dokumentów dotyczących powstania 1863/4 roku a głównie Romualda Traugutta, gromadzonych z wielkim pietyzmem przez. ks. Jarzębowskiego. Pieczątkę tę ofiarowało do zbio-

rów na Bielanach rodzina Mitraszewskich). Dotąd w żadnej biografji Traugutta nie podano w jakich okolicznościach, gdzie i kiedy zdecydował się on przystąpić do powstania, obejmując dowództwo nad oddziałem kobryńskim.

Otóż Traugutt jak wiadomo opuścił w 1860 r. wojsko rosyjskie w randze podpułkownika saperów i zamieszkał w majątku Ostrów odległym o dwadzieścia kilka kilometrów od Kobrynia. Mimo że powstanie już wybuchło i w kobryńskiem od stycznia działała miejscowa organizacja wojskowa, Traugutt do organizacji tej nie zgłaszał się. Dopiero w kwietniu 1863 r. na prośbę swego dawnego kolegi z gimnazjum w Świsłoczy wyżej wymienionego Jana Mitraszewskiego przyjechał wraz Elizą Orzeszkową, która b. energicznie pomagała Janowi Mitraszewskiemu w organizowaniu oddziału kobryńskiego, do odległego o 10 kilometrów od Kobrynia majątku Bożydar Mitraszewskich, gdzie koncentrowały się prace organizacyjne.

Jan Mitraszewski zakomunikował Trauguttowi, co dotychczas zrobiła organizacja, a mianowicie wielu zwerbowano powstańców, ile jest i jakiej broni i amunicji i prosił Traugutta o przyjęcie dowództwa nad oddziałem kobryńskim. Traugutt odpowiedział, że jako były wojskowy zna siły armji rosyjskiej i jest przekonany, że walka z tą armją, przy posiadaniu tak nikłych środków, jakiemi może rozporządzać w danej chwili naród polski, musi skończyć się klęską i należałoby walki tej zaniechać. Jan Mitraszewski w gorących słowach przekonywał Traugutta, że zaniechanie powstania obecnie jest już niemożliwe i że trzeba wierzyć w zwycięstwo narodu polskiego, a przyklęknąwszy przed Trauguttem i obejmując go za kolana zakończył: „Błagam Cię Romualdzie nie odmawiaj Polsce i nam, przystąp do powstania i obejmij dowództwo nad naszym oddziałem". Traugutt zakrył sobie oczy rękami, chwilę się namyślał i rzekł: „Przekonałeś mnie Janie, obejmuję dowództwo".

S. M.

Ś W I Ę T Y K R Z Y Ż

W DRODZE NA GÓRĘ ŚW. KRZYŻA

Wspinamy się na górę w uroczystej ciszy,
Oddechy własnej piersi tylko ucho słyszy,
U stóp złociste łany, w koło ciemne bory
Tajemnicze nad nami wiodą rozhowory.
Głos się nasz tylko w gęstwę bezmierną rozlega
I w echo się roztrąca i znów do nas zbiega.

Pniemy się wyżej — wyżej, bo człowiecze syny
W dumie swej zawsze pragną sięgnąć na wyżyny.
I choć o ostry kamień pokaleczą stopy
Pną się skrwawioną nogą w niebotyczne stropy.

U STÓP KLASZTORU

U stóp twych stajem pomniku wiary
Minionych wieków świadku niezłamany
Gromy dziejowe w grzbiet twój biły stary
Huczały w koło bojów huragany
Lecz w czasach walki i w czasach swobody
Tyś stał poważny — święte znamię zgody.

Dymią pożogi, harcują najazdy
I srogi Litwin złote zdziera łupy,
Bo nim lud jutrznej dopatrzył się gwiazdy,
Do światła droga szła przez noc i trupy;
Lecz tyś nie zadrżał w dzikich burz zamęcie
Na granitowym twoim fundamencie.

NA WIEŻY

Można i tu odetchnąć piersiami pełnemi,
Uroczysty to oddech, bo w ojczystej ziemi
Drogi nam każdy kamień, każda ścieżka święta.
Każdy głaz bohaterów stopy tu pamieta.

W Siekiernie,
31 stycznia 1875

ALEKSANDER FABIAN

Wiersze te wyjmujemy ze sztambucha Marji Wasilewskiej, która mieszkała wówczas w Siekiernie (koło Bodzentyna w Świętokrzyskiem). Dr. Aleksander Fabian był wtedy lekarzem górniczym w Suchedniowie.

WYPRAWA DO JAKSIC

I

Było to w r. 1890, a więc 45 lat temu. Po ukończeniu wydziału prawnego (z końcem 1888), zostałem — etnografem. Tak mi się przynajmniej zdawało, że nim będę. Rysem charakterystycznym młodzieży ówczesnej było społecznikostwo: szliśmy w lud. Trzeba go było poznać, a właśnie odżyły wówczas zainteresowania etnografją ludu wiejskiego, mające swoją historję od upadku państwa. Oczekiwało się od ludu pomocy w dziele odrodzenia.

Jeszcze jako student opracowałem etnograficznie wieś, w której kilka lat mieszkali rodzice, — Jagodne w pow. Łukowskim. Książka wyszła w bibljotece „Wisły" w r. 1889 i zjednała mi opinję młodego etnografa. Praktykowałem jednocześnie jako dziennikarz w „Głosie", gdzie studjowało się lud ze strony społecznej. Usiłowałem oba te aspekty: naukowy i publicystyczny łączyć. Wchodziła w to wówczas wytężona praca (i jawna i konspiracyjna) nad oświatą. Właśnie w roczniku „Głosu" z r. 1890 ogłosiliśmy, opracowany przezemnie do spółki z młodym literatem Antonim Potockim, szumny kwestjonarjusz „W sprawie czytelnictwa ludowego" (nr. 17), wydany potem w odbitce i szeroko rozpowszechniany.

Naładowany takiemi dążeniami badawczemi zgodziłem się chętnie na zaproszenie kolegi Stefana Tomaszewskiego, abym przyjechał do niego latem na wieś dla wypoczynku. Z Tomaszewskim kolegowaliśmy w gimnazjum kieleckiem szereg lat; cały czas miałem go przed sobą na najbliższej ławie, od klasy piątej bowiem do końca izby i ław nie zmieniliśmy. Po ukończeniu wydziału prawnego w Warszawie zajął się gospodarstwem rolnem przy ojcu na dzierżawie, w Jaksicach. Wkrótce jednak przeniósł się do Kielc i tu zajął stanowisko w sądownictwie. Zmarł przedwcześnie, doszedłszy do szczebla wiceprezesury sądu okręgowego.

W domu Tomaszewskiego, wśród zacnej jego rodziny, spędziłem kilka tygodni latem 1890 r. Rzuciłem się namiętnie do zbierania materjałów, w czem mi gorliwie pomoc niosły siostry Stefana, panny Marja (później Józefowa Sanecka) i Władysława. Zebrany materjał podzieliłem na

dwie grupy: społeczno-kulturalny i etnograficzny. Pierwszy zużytkowałem w „Głosie" w formie „Listów ze wsi", podpisanych pseudonimem: W. Głuchowski. Było tych listów cztery (nr. 38, 39, 40 i 42). Czego tam nie było! Była tam topografja miejscowości z pejzażem, charakter ludności, sprawa żydowska, statystyka, zdrowotność, stosunki ekonomiczne, klasowe, poziom kultury, sprawy oświaty i t. p.

Natomiast materjał etnograficzny ogłosiłem pod swojem nazwiskiem w kwartalniku naukowym „Wisła" w t. VI z r. 1892 w dwu zeszytach. Praca nosiła tytuł „Przyczynek do etnografji Krakowiaków". Praca dzieliła się na części: 1. Charakterystyka wsi, 2. Budynki, odzież, pożywienie, 3. Zwyczaje, 4. Wierzenia, 5. Pieśni (z nutami), 6. Legendy, 7. Zagadki, 8. Imiona i nazwy.

Jaksice leżą na wyniosłości, dzielącej dolinę rzeki Szreniawy od doliny wiślanej, nad urwistym i wysokim brzegiem Wisły. Widać stąd po tamtej stronie Wisły Ujście Solne i dalej nizinę aż do sinych Tatr. Była to wtedy Galicja. Okolica Jaksic, należących do gminy Koszyce, sfalowana w obłe, ogładzone pługiem i broną pagórki, samą żyznością swoją jest piękna. Nie szpecą jej, owszem dodają swoistego wdzięku, skromne wierzby, zastępujące tutaj las i rosnące wszędzie — przy drogach, koło chat, w wąwozach. Poczciwa wierzba wplata się w życie mieszkańca wielorakiemi usługami. Z niej plecie on koszyki, wasągi „krakowskie", nią grodzi ściany w stodole, płoty przy chacie, tamy na Wiśle, ona mu służy za faszynę przy naprawianiu dróg, nią wysadza wzgórza, aby je wzmocnić, wreszcie z niej ma opał. Nie mówię już o poetycznych fujarkach.

A mieszka tu lud dorodny. Uderzyła mnie jego dorodność i dziarskość, bom porównywał go z ludem podlaskim w Jagodnem. Ubiera się jaskrawo, śpiewa głośno, bawi się zapamiętale, a gdzież porównać go z podlasiakiem, drzemiącym na wózku. Konik w hołobli ledwo się rusza, a piasek dzwoni w szprychy; do Koszyc zaś wali czwórka, ze skóry wyskakuje, gdy stojący na wozie krakowiak strzela z bata.

Czynnikiem bohaterskim ludności jaksickiej było wtedy przemytnictwo. Lud nad kordonem rozbiorczym nie miał nigdy poczucia granicy i poszanowania. Awanturnicze jednostki traktowały przemycanie, jako rzecz rycerską i bohaterską. Chętnie też oddawano usługi żydom handlarzom za marnem wynagrodzeniem. Była piosnka:

Nie będę, nie będę żadnym pułkownikiem,
Wezmę macherzynę (pęcherz) — będę szwarcownikiem.

W etnografji dużą rolę gra pierwiastek antropologiczny, nic też dziwnego, że w listach swoich wiele o żydach pisałem, jednak prawdę mówiąc nie o etnografję mi chodziło, lecz o dobro ludu i wogóle o dobro narodowe.

II

Oczywiście bywało się w Koszycach. Jarmark. Zanotowałem taki obrazek:

W rynku widnieje szyld: „cukiernia". Jest to właściwie szynk, lecz gospodarz, żyd z pańską miną, w binoklach na nosie i w złotym łańcuchu na wydatnym brzuszku, prowadzi do dalszych komnat, tłumacząc, że tam jest miejsce dla gości. Zdaje mi się, że słyszałem zdanie: „pokażcie mi swego żyda, ja wam powiem, coście za jedni". Dlatego właśnie mówię o tym panu, bo po pasorzycie można nieraz poznać naturę opanowanego przezeń organizmu. Nawet nie wychodząc poza obręb wsi i miasteczek, mamy kilka odmiennych od siebie typów żydowskich: inaczej przedstawia się przecie drobny przekupień wiejski niż kupiec leśny, kupiec zbożowy lub dostawca, przedsiębiorca robót publicznych. Ten, o którym mówię, „żył szlachtą", pośredniczył w kupnie majątków. Taki bierze za pomoc tysiące, jest bogaty. Jednego ratuje z kłopotów — to go rozzuchwala i spoufala; drugiego wciąga do interesu — tego pokonywa łgarstwem, pochlebstwami i natręctwem. Pośrednik taki posiada wiele sprytu, a jeszcze więcej znajomości natur szlacheckich. Stara się mówić językiem wykwintnym, tonem protekcyjno-koleżeńskim.

Mój towarzysz, Tomaszewski, był przedmiotem jego uwagi i pochlebstw. Skarżył się na żonę, że, pragnąc koniecznie czemś się zająć, uparła się przy założeniu tej cukierni. „Chce, niech sobie ma tę zabawę" — mówił. Myślał o cukierni dla obywateli, tymczasem oni tak zbiednieli, że piją bardzo mało; więc bilard, który był nabył, sprzedał i do komnat, dla dostojnych gości przeznaczonych, był zmuszony wpuścić chłopów. Nie można powiedzieć, żeby źle dawali targować; piją nawet wino, zamknąwszy się na kilka godzin, ale zawsze to „chamy". Wyraz ten wymawiał z najwyższą pogardą, licząc na to, że ją rozumie się, podzielamy. Gdy to mówił, jeden z chłopów, siedzących przy piwie w drugim pokoju, uderzył gwałtownie w stoją-

cy na stole dzwonek sprężynowy, przyczem rozległ się rozkazujący głos: kelner! (wpływ Galicji).

— Słyszą panowie? Taki chamcio... kelner!... — rzekł gospodarz ze zjadliwym uśmiechem. Jednakże co żywo pobiegł ku chłopom. Na odgłos dzwonka drugiemi drzwiami wpadł bosy żydziak i chwycił za kufle.

Skarżył się żyd następnie na to, że go zarzucają interesami. I teraz pisało do niego dwóch „obywateli" z Płockiego; ale on nie myśli już pracować, czuje potrzebę odpoczynku. Gadatliwie opowiadał nie pytany, chcąc nas bawić zapewne, o tajemnicach okolicznych dworów. O dwóch gospodarzach, których miał w swej opiece, wyraził się w ten sposób:

— Co to znaczy, panie Tomaszewski! Jemu w tym roku się udało, urodzi mu się na przyszły rok, a na trzeci swoją drogą djabli go wezmą. Co innego tamten: jemu się teraz noga popsnęła, ale on sobie poradzi, to — gospodarz. Już ja wolę z nim mieć do czynienia. Jak ja siadam na kiepską szkapę, a ona mi idzie ostro, to ja aż drżę: no, myślę, ona mi idzie, ale jak się raz potknie, to ja kark skręcę; ale jak ja siedzę na dobrym koniu, a on mi się potknie raz i drugi, to ja myślę: wypadek, potknął się, ale ja wiem, że on dalej pójdzie ostro i krzywdy mi nie zrobi. To samo, panie, z nimi, już ja ich znam!

Kiedy po tym wykładzie jazdy na szlachcie zabieraliśmy się do wyjścia, pieniądze za piwo brał niedbale, robiąc pozór, że może ich wcale nie brać, i, wskazując na chłopstwo, mrugnął znacząco okiem:

— My dzisiaj ich oskubiemy... — szepnął, śmiejąc się cynicznie.

Żyd tutejszy zapuścił korzenie przeważnie we dworze. Wśród włościan niema wprost miejsca dla żydów. Wogóle można zauważyć, że u nas w miejscowościach, gdzie ludność posiada trwalsze podstawy bytu bądź w żyznej ziemi, bądź w przemyśle, żydzi nie mogą się rozplenić tak szybko, jak w miejscowościach biednych. Szukają przedewszystkiem organizmów słabych. Tutaj mają grunt podatny jedynie w gospodarstwach większych, bo te, oddalone od ognisk handlowych, przy braku wszelkiej organizacji środków wymiany, czekają z całą swoją produkcją na tych pośredników. Właściwie na nich i czekać nie trzeba, bo oni sami po żniwach pierwsi stają przy młockarni. Oni udzielają kredytu, nie żądając wzamian gotówki, biorą na swe głowy wszelkie kłopoty wymiany, oni stanowią dla dworów ga-

zetę bieżącego życia, oni pocieszają szlachcica w kłopotach — pochlebstwami. Żyd szlachcicowi jest tak potrzebny, że gdyby go nie było, należałoby go wymyśleć.

III

Co do chłopów, a o nich głównie pisać zamierzałem, muszę zaznaczyć, że wino, a nawet piwo, nie było ich stałym napitkiem. „Cukiernia” ogląda w swych ścianach przeważnie nieliczne jednostki z paru bogatszych wiosek z nad Szreniawy. Naogół nie stać ich na zbytki. Mięsa nie jadają; jedzą chleb żytni razowy i kartofle. Nawet w tej glebie ich małe gospodarstwa nie pozwalają na uprawę pszenicy.

Miałem sposobność poznawać chłopów nad brzegiem Wisły. Wioski patrzą oknami chat daleko na Tatry, a ich sady śliwkowe docierają nieraz do samej rzeki. Nasz brzeg jest tutaj nadzwyczaj wysoki. Wznosi się nad wodą urwistą ścianą, niekiedy z poziomem rzeki ostry kąt tworzącą. Gliniane urwiska, przez lud skałami zwane, podczas suszy twarde są rzeczywiście, jak skała. Wisła podrywa brzeg u dołu, woda w czasie roztopów lub deszczów obłamuje go od góry. Rzeka, jak kot, zdradziecko się łasi, ocierając się o ląd coraz serdeczniej, i ludziom ziemię z pod nóg wydziera. Maleją sady nadbrzeżne, ludzie odsuwają stodoły coraz dalej od brzegu, a ziemi powstrzymać nie mogą i coraz całe płaty niedawno uprawianej ziemi, giną bezpowrotnie w nurtach rzeki. Wiele chat za dziadów obecnego pokolenia stało tam, gdzie obecnie jest środek koryta; od tego czasu nie jedna morga zginęła pod wodą. Chętnie budowaliby tamy, gdyby to było możebne ze względu na prawo międzynarodowe. Władze austrjackie bacznie śledziły, by chłop nawet wikliny na brzegu nie zasadził.

W jednym z sadów nadbrzeżnych poznałem 15-letniego chłopca. Miły, o sprytnej, można powiedzieć, inteligentnej twarzy podrostek, rozprawiał z miną dojrzałego człowieka o kłopotach majątkowych rodziców i widokach własnych na przyszłość. Mają wszystkiego cztery morgi gruntu; z tych dziadek na dwóch ma dożywocie, a jest ich wszystkich w chacie pięcioro.

— Zabiorę się i pójdę w świat — mówił. — Co ja tu będę robił? Najmować się za 15 kop. albo za 10 kop. do dworu! Cztery lata chodził do szkółki. Gdyby ojciec

miał więcej gruntu, a posłał go do szkoły w Miechowie lub Kielcach, „nająłby” się na nauczyciela albo na pisarza do kogo.

— A księdzem chciałbyś zostać? — spytałem.

— Nie chciałbym? — odrzekł zdziwiony. — Tylko to duży koszt. Żeby ojciec miał z 18 mórg, to co innego.

Pójdzie do Dąbrowy. Tam zarabiają 60 kop., a nawet rubla dziennie. Weźmie paszport na rok, później odnowi, a do domu nie wróci. Rozmowa zeszła potrochu na uprawiane tutaj doniedawna przemytnictwo. Poważna twarz chłopca zmieniła się w jednej chwili, oczy zagorzały blaskiem, kiedy począł opowiadać o własnych przygodach. Zapalał się coraz bardziej, kpił z tchórzów, szczególniej z kobiet. Zdarzyło się, że baba, usłyszawszy strzał, padła ze strachu na lód i nie mogła się ruszyć; dopiero chłopcy przybiegli i wynieśli ją za Wisłę. Szwarcuje zawsze żyd, ale sam nie przenosi, bo się boi; posługuje się zaś chłopami. Sam stoi na „skałach” i dygocze ze strachu...

IV

Zachowałem z tych czasów notatkę o Wiślicy. Podążałem końmi Tomaszewskiego do stacji kolejowej. Wypadło popaść w Wiślicy. Była sobota, godziny południowe. Wózek zatrzymał się w rynku. Żywej na nim duszy, sklepy pozamykane. Wpobliżu, po prawej ręce miałem starożytny kościół, a obok dom Długosza.

Woźnica mój zabrał konie gdzieś do stajni, a ja pilnować musiałem rzeczy. Rynek był nawet wymieciony — goła ziemia niebrukowana robiła wrażenie pustyni. Słońce przypiekało, robiło się sennie. Dwu żydziaków, pokrzykując nieznośnie przez zaflegmione gardła, zabawiało się w bitwę. Machali bezmyślnie rękami koło siebie, a że jeden z nich miał chałat rozdarty z tyłu do łopatek, więc robił wrażenie wiatraka. Było to nudne, bo z nudów robione.

Patrzyłem jakiś czas na kury. Koło słupka wbitego pewno na to, by posłańcy przywiązywać mieli do czego konie, kury wyszukiwały ziarnek owsa, zdaje się bezowocnie. Mnie to usypiało. Ocknąłem się słysząc jakiś gwar. Z za węgła narożnego domu wysypał się na rynek ciemny tłum. Prowadzono młodą mężatkę „do wywodu”. Kroczyła przodem z miną bohaterki dnia — w aksamitnem okryciu, żółtym kapeluszu, z bardzo czerwoną wstążką na szyi. Ży-

dówki kroczyły rzędami w przyzwoitem od niej oddaleniu.

Szły z godnością; strój odświętny wbija w pychę, ile że otacza je ciżba biednych żydówek, które z zawiścią obliczają wartość strojów. Jedne miały suknie atłasowe i rękawiczki, ale szły w perukach bez kapeluszy, inne niosły na głowie niewiarygodnie strojne kapelusze, ale rąk czerwonych nie zasłaniały. Szły wolno, wyrzucając z powagą głowami. Wkrótce rynek był już zalany czarną falą żydowstwa, płynącego z bóżnicy. Rozstępują się fale przed młodą mężatką, fale szumią, rechoczą, robi się bardzo duszno.

Jak sen. Wzbiera żywioł, piętrzy się koło mnie, podmywa mój wózek. Mimowoli garnę nogi pod siebie i zbiera mnie niesamowity strach. Tyle żydów!

Niebawem tłumy wsiąkły gdzieś w szpary koło rynku i znowu była pustynia, odnalazły się kury, żydziaki się biją... Zjawił się mój woźnica. Daremnie chodził po całem mieście, aby kupić dla mnie pudełko zapałek — wszystko zamknięte — szabas. Rozglądałem się po domach. Wyglądały, jak po pożarze. W piętrowym obok domu wyrwane okna z futrynami. Na szyldzie sklepiku nie mogę rozpoznać, azali tam góra namalowana i wieża: nie — to wiązka cygar i butelka.

Skierowałem wzrok ku świątyni. Więc to historyczna katedra Wiślicka! Stare, zczerniałe mury i niezmiernie wyniosła buda dachu, u szczytu smukła, jak sztylet, wieża. Tutaj, w tym domu obok, Długosz mieszkał. W dzisiejszej Wiślicy zawiodłaby go wyobraźnia historyczna.

Z bramy opodal wyszło małe, piegowate żydzię, niosąc przed sobą oburącz ciężkie, oprawne księgi. Malec rozkraczał nogi, potykał się, przystawał, bo wielki był ciężar tych ksiąg. Spocony był, pantofle miał przydeptane z tyłu i zbyt duże, nadomiar nos zakatarzony sprawiał mu widocznie ambaras. Gdy mnie minął, widziałem go z tyłu. Z dolnego ubrania zwieszał się kawał koszuli. Było dla mnie oczywiste, że małe to żydzię jest symbolem panującego w miasteczku Izraela. Ta czysta, szabasowa koszula w słońcu rzucała blask na cały rynek.

Dziecko chrześcijańskie w Polsce niema nigdy takiego kłopotu z księgami. To dziecko dźwiga przenośną ziemię swych ojców; to jest ich terytorjum i sklepienie. Tam są prawa organizacyjne nomadów; tam są wskazania, jak żyć na cudzej ziemi z cudzej pracy.

Oto był cały mój plon etnograficzny z Wiślicy. Nie widziałem tam ani jednej duszy chrześcijańskiej.

V

Tak się złożyło, że w tej mojej ekspedycji jaksickiej na pierwszy rzut oka nastręczało mi się zagadnienie etniczne — różnice między ludnością dwu ras i charakter współżycia tych ras z sobą. Siedliska w Polsce dzieliły się i dotąd dzielą na grupy takie: 1) dwory, 2) wieś chłopska, 3) miasta. Zanotowałem wyżej spostrzeżenia co do dworów i miast, jakże jednak te stosunki etniczne przedstawiają się na wsi chłopskiej?

Widzieliśmy w Koszycach, jak żydzi nie lubią chłopów; jest to odpowiedź przez wzajemność. Chłopi w Proszowskiem nie dopuszczają żydów tak blisko do siebie, jak dwory, nie są od nich w tym stopniu zależni ekonomicznie. We wsi żydów nie było wtedy. Ale ciekawa jest psychologja tego stosunku, znajdująca wyraz w twórczości poetyckiej ludu. Chłopi, może zbyt dobrodusznie, lekceważą żydów. Żydzi, jako cudzoziemcy, wydają się autochtonom śmieszni. Nie obca była ludowi smutna rzeczywistość; widać to z charakterystyki satyrycznej ich wad, widać z faktów, z których najgorzej przedstawiała się chłopu możliwość służby u żyda. Być parobkiem żydowskim! — toż to hańba.

Krakowiak, zwłaszcza w Proszowskiem, gdzie jest dobra ziemia, ma wiele fantazji i humoru. Podobny jest z humoru do ukraińca z nad Dniepru, gdzie tak łatwo było urodzić się Gogolowi.

Rzeczywistość mogła być dramatyczna, ale bajka musi być wesoła, choćby dlatego, że lud, co ją opowiada, musi pochwalić się przed sobą swojemi przewagami nad przybłędą. Przypomnę komizm sytuacyjny, z jakim przedstawiane są w szopkach ludowych postaci obce zpoza środowiska wsi: cyganie, druciarze i t. p. Swoich ludzi twórczość ludowa nietylko nie ośmiesza, ale wogóle nie spostrzega w nich nic charakterystycznego — nie widzi ich.

Do figury żyda, będącego z psychiki swojej zaprzeczeniem człowieka zżytego z przyrodą i gospodarstwem rolnem, twórca noweli ludowej doczepia wszystko, co z komiki innych opowiadań było mu znane.

Przytoczę dla przykładu parę bajek, które zapisałem w Jaksicach i zachowałem w rękopisie. Jedna z nich wysławia parobka, jak żyda podszedł. Oto jej brzmienie.

„Żydowi trza było trzech parobków. Jechał przez wieś, spotkał chłopaka i zgodził go. Dał mu rubla kolen-



KIELCZANIE Z ROCZ. 1884 W UNIW. WARSZAWSKIM W R. 1888
Siedzą (od lewej): Edward Łuszczkiewicz, Tadeusz Wędrychowski, Roman Skowroński, Jan Zydler, Józef Krajewski, Stefan Tomaszewski. — Stoją (od lewej): Józef Sanecki, Eug. Lipski, Zyg, Grunert

dy i pyta go się, jak się nazywa. A chłopak, który nie chciał iść do niego na służbę, odpowiedział: Jak-ty.

Żyd pojechał dalej, a chłopak był taki Filistynek — zaleciał mu bez pola i idzie se drogą. Żyd go nie poznał i znowu go zgodził. Dał mu rubla i kazał zaraz przyjść do domu.

— Jak się nazywasz?

— Jak-ja.

I znowu chłopak zaleciał mu drogę, siadł i czeka na żyda. Ten nie poznał go, znowu zgodził do służby i dał rubla kolendy.

— Jak się nazywasz?

— Jak-niema-nikogój.

Wrócił żyd w nocy do domu, a rano wychodzi przed chałupę i woła:

— Jak-ty, zaprzęgaj.

Nikt nie zaprzęgał. Żyd woła na drugiego: Jak-ja, zaprzęgaj! Na trzeciego: Jak-niema-nikogój, zaprzęgaj! Nikt się nie pokazywał. Więc żyd poszedł do stajni, a stajnia zawarta. Tłucze do drzwi i woła wszystkich po kolei i wszystkich razem. Aż wyszła żona z chałupy i śmieje się z żyda:

— Jakiś ty głupi — mówi po żydowsku. — Jak niema nikogój, to kto ci ma otworzyć!

A chłopak wziął trzy ruble kolendy i nie przyszedł".

A druga opowieść, o wesołym Wojciechu — jest taka:

„Służył Wojciech u żyda. Pewnego razu żydzi wyjeżdżali i mówią do niego:

— Wojciechu, nasmarujcie konie i napójcie wóz.

Wojciech pojechał z wozem do rzeki, konie nasmarował smołą, zaprządgł i zajechał. Pojechali. W mieście stanęli przed kupcem. Żydy poszły do kupca, kupowali, a on tymczasem złapał zająca, uwiązał mu u szyi pęcherz z grochem i trzyma przy wozie.

— Co wy tu macie, Wojciechu — pytają żydzi.

— A, ja tu mam bożego posiewaczka. Zoram, popokładam i puszczę tego posiewaczka — on mi zasieje.

— To my, Wojciechu, to my! Sprzedajcie mi tego posiewaczka.

— Jak mi dacie sto rubli, to wam sprzedam.

Dali sto rubli, wzięli posiewaczka. Potem poorali, popokładali, nareszcie puścili bożego posiewaczka, kiedy już śniegi spadły. Zając latał po polach, a żydzi wołali:

— Po mojem polem, boży posiewaczku.

Przychodzą do Wojciecha, żeby im pomógł szukać posiewaczka, bo im uciekł. Poszli do lasu, szukali, zaszła ich noc. Pytają Wojciecha, gdzie będą nocować. Ten zrobił im posłanie w mrowisku. Kiedy ich mrówki poczęły gryźć, jeden powiada:

— Wojciechu, bo będziemy krzyczeć.

— Cicho, psiakrew, nie krzycz, bo przyjdą zbóje i nas wszystkich pozabijają. Sam cię zabiję, jak będziesz krzyczeć.

Ale Wojciech tu nie spał, jeno wlazł na dębczak. Nazajutrz żydzi mówią, że będą spali na drzewie. Wojciech zrobił im na dębie posłanie, a kiedy tam powchodzili, poobcinał gałęzie od dołu, zostawiając tylko jedną u góry. Rano żydzi pytają, jak mają schodzić.

— Ano, niech się jeden trzyma gałęzi, a drugi niech się po nim spuści i trzyma go za nogi, tak samo trzeci.

Tak zrobili i wiszą, ale wnet pierwszy z nich woła:

— Wojciechu, bo nie utrzymam.

— To napluj w ręce.

Żyd puścił gałąź, a wtedy wszyscy spadli i potłukli się.

Jeden z nich wołał, że umiera.

— No to poczekaj, ja cię dobiję.

Wtedy żydzi jeden przez drugiego w krzyk:

— Nie, Wojciechu, wszyscyśmy równo zdrowi.

Wkońcu rozgniewali się żydzi i postanowili zgładzić Wojciecha. Posadzili go na bronie i ciągnęli po polu, a Wojciech śmiał się. Wsadzili go potem w worek i położyli na mostku, a sami poszli szukać żerdzi, żeby go zepchnąć do wody. Wojciech siedzi w worku i mówi do siebie:

— Nie będę polskim królem, bo nie umiem pisać piórem.

A tu jakiś pan jedzie powozem, usłyszał to i mówi sobie: Co ten psiakrew tam mówi? Ja umiem pisać piórem, to będę polskim królem. Dał Wojciechowi swój powóz, konie, a sam wlazł do worka. Żydzi przychodzą z żerdzią, a ten woła:

— Będę polskim królem, bo umiem pisać piórem!

A żydzi:

— Ty psiakrew, będziesz polskim królem? — i zepchnęli go do wody.

Idą żydzi do miasta, spotykają Wojciecha. Jedzie powozem czterema końmi. Zdziwili się żydzi i pytają, skąd się wziął, a on im opowiada, ile on ma nierogacizny, ga-

dziny, koni, różnego bogactwa. Żydzi wołają, że oniby chcieli mieć to samo.

— Ano, to chodźcie na most i skaczcie do wody.

Stanęli żydzi na moście, ale się boją. A Wojciech:

— Kto pierwszy skoczy, najwięcej nabierze.

Skoczył jeden i zniknął, a woda zabulkotała: bul, bul, bul...

— Słyszycie — powiada Wojciech — jak to zagania gadzinę; nie może sobie dać rady. Skaczcie prędzej!

Żydzi powskakiwali i potopili się".

Tak sobie lud nasz dworuje z żydów. Opowieści te robią wrażenie, jakby się w podświadomości twórców błąkało poczucie walki o panowanie: kto tutaj będzie królem. Lud jest dobrej myśli, wierzy w siebie. Daj mu Boże!

ZYGMUNT WASILEWSKI

PAMIĘCI ZMARŁYCH

Ś. P. JAN ZYDLER

W r. 1934 ubył z naszego grona wielce zasłużony na niwie pedagogicznej polskiej ś. p. Jan Zydler.

Urodzony w Modzechowie powiatu Grójeckiego 28 sierpnia 1867 r. po uzyskaniu matury w gimnazjum w Siedlcach, wstąpił na wydział matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego, który ukończył w r. 1888, mając zaledwie lat 21. Kierując się zamiłowaniem do pracy pedagogicznej, wstąpił na ciernistą naówczas drogę zawodu nauczycielskiego: dostęp do szkół państwowych dla nauczycieli polaków był zamknięty, zaś szkolnictwo prywatne było zaledwie tolerowane i narażone na różne szykany władz rosyjskich.

To jednak nie zrażało ś. p. Zydlera. Początkowo pracuje on w prywatnej szkole technicznej kolei Warsz.-Wiedeńskiej, a w r. 1906 organizuje szkołę im. Staszica, utrzymywaną w Warszawie przez Stowarzyszenie Techników Polskich.

W roku 1913/14 został powołany na dyrektora dwuch szkół handlowych w Kaliszu, po zburzeniu Kalisza przez niemców wraca do Warszawy na poprzednie stanowisko kierownika szkoły im. Staszica, którą stawia na wysokim poziomie naukowo-wychowawczym. Gdy z powstaniem Państwa Polskiego szkoła ta została przekształcona na gimnazjum państwowe, władze naukowe polskie powierzają mu stanowisko dyrektora tego gimnazjum i na stanowisku tem pozostaje on aż do przejścia na emeryturę. Ale i wówczas nie przestaje pracować w umiłowanym zawodzie.

W latach 1927—1930 jest dyrektorem gimnazjum męskiego w Milanówku, zaś od r. 1930 do 1933 dyrektorem gimnazjum żeńskiego im. Leonii Rudzkiej w Warszawie.

Pomimo ciężkiej pracy zawodowej ś. p. Zydler nie uchyla się i od pracy społecznej. Wobec jego wartości fachowych i moralnych nauczycielstwo polskie w r. 1905, porucza mu przewodniczenie w Komisji redakcyjnej statutu organizującego się „Stowarzyszenia nauczycieli", którego następnie przez szereg lat był prezesem. Z tych samych względów powstały w czasie okupacji niemieckiej Komitet Obywatelski m. st. Warszawy, powierza mu odpowiedzialny

referat szkolnictwa średniego w sekcji oświecenia, który piastuje z uznaną powszechnie sprężystością i godnością do chwili zlikwidowania przez okupantów tej pierwszej, po długich latach niewoli, polskiej władzy szkolnej. Przy tak licznych i wymagających dużego nakładu pracy zajęciach ś. p. Zydler umiał znaleźć jeszcze czas na pracę naukową; owocem tej pracy są podręczniki szkolne, które przez szereg lat są w użyciu szkół polskich i doczekały się kilku wydań.

Wobec tak obszernej i owocnej pracy oraz niespożytych zasług na niwie pedagogicznej, gdy w r. 1926 przypadł 35-cio letni jubileusz jego pracy nauczycielskiej, to z wielu stron otrzymał on wyrazy uznania i wdzięczności. Przytaczamy z nich niektóre. Tak Stowarzyszenie nauczycieli w złożonym mu adresie, wyłuszczając jego zasługi jako „nauczyciela - obywatela" i „szlachetnego kolegi", oświadcza: „obok znajomości i umiłowania przedmiotu, obok taktu, obowiązkowości, stanowczości i prawości — cech tak ważnych — dla pedagoga, miałeś jeszcze jedną cenną dla nauczyciela Polaka zaletę — ukochałeś piękno mowy ojczystej, którą starannie pielęgnowałeś".

Stowarzyszenie Techników Polskich, uważa za swój obowiązek wyrazić mu jako b. dyrektorowi utrzymywanej przez Stowarzyszenie szkoły, najgorętsze uznanie za jego zabiegi, energję i trudy, położone dla kształcenia młodzieży, która oprócz wiedzy wyniosła poczucie obywatelskiego obowiązku względem drogiej wszystkim Ojczyzny. Ministerstwo Wyznań Rel. i Ośw. Pub. w piśmie, wystosowanym do ś. p. Zydlera, zaznacza jego wieloletnią ofiarną i owocną pracę na niwie oświaty ojczystej, w ciągu której umiał wiernie i niezachwianie służyć ideałom polskim na trudnych placówkach jako nauczyciel i dyrektor prywatnej szkoły polskiej w zaborze rosyjskim, a z chwilą wskrzeszenia państwowości polskiej stanął w pierwszych szeregach tych, co ofiarowali swe siły i umiejętność odradzającej się po latach niewoli państwowej szkole polskiej; wreszcie Ministerstwo dziękuje mu za wzbogacenie literatury szkolnej cenną pracą, z której korzystają i niewątpliwie korzystać będą pokolenia młodzieży naszej.

Wkońcu zaznaczamy, że ś. p. Jan Zydler od początku założenia Koła Kielczan był stale członkiem Koła, przez szereg lat vice-prezesem Zarządu tegoż a zawsze gorliwym i serdecznym jego zwolennikiem.

Pamięci Jego cześć!

E. Z.

Ś. P. JÓZEF DĘBICKI

W roku 1932 zmarł jeden ze starszych kolegów szkolnych, członek Koła Kielczan, ś. p. Józef Dębicki. Otoczony za życia powszechnem uznaniem i szacunkiem oraz szczerą przyjaźnią kolegów i znajomych, za swe wybitne zalety serca i charakteru i za działalność społeczną, zaskarbił sobie wdzięczność ogółu i wspomnienie koleżeńskie w Pamiętniku.

Urodzony 14 marca 1860 roku jako syn Stanisława, poborcy kasy skarbowej w Końskich i Pauliny z Wietrzykowskich, pobierał nauki gimnazjalne początkowo w Radomiu a następnie w Kielcach, gdzie też otrzymał świadectwo dojrzałości w r. 1882. W tymże roku wstąpił na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, ale na skutek śmierci ojca i braku wszelkich środków materjalnych musiał opuścić uniwersytet po przesłuchaniu dwóch kursów. W roku 1885 otrzymał posadę w służbie akcyzowej, do której wówczas mieli jeszcze dostęp polacy, i w tym dziale administracji skarbowej posuwał się, przechodząc dalsze stopnie służbowe i urzędując w Lublinie a od roku 1893 do 1915 kolejno w Stopnicy, Staszowie i Chmielniku jako starszy pomocnik nadzorcy okręgu akcyzowego. Zajęcia służbowe, połączone z nieustannemi wyjazdami, dały ś. p. Józefowi możność stykania się ze wszystkiemi sferami społeczeństwa; poznał je wszechstronnie i pozyskał ich zaufanie i szacunek. Głęboki patrjotyzm i poczucie obowiązku służby społecznej sprawiły, iż w każdym z miejsc swego pobytu nie uchylał się od pracy społecznej i sam jej poszukiwał. W Staszowie podczas epidemji cholery w r. 1894 zorganizował i prowadził bezpłatną kuchnię i herbaciarnię oraz przytułek dla rekonwalescentów, założył ochronę dla sierot, należał do komitetu organizacyjnego kasy pożyczkowo-oszczędnościowej i był kuratorem miejscowego szpitala. W Chmielniku powołał do życia towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe. Po roku 1905 rozwinął działalność natury politycznej, będąc w stałym kontakcie z wybitnym działaczem narodowym w pow. miechowskim ś.p. Gabryelem Godlewskim. W okresie wyborów do ciał ustawodawczych w Petersburgu, stale był powoływany przez mieszkańców do grona wyborców.

Przy ustępowaniu rosjan z Królestwa Polskiego otrzymał rozkaz wyjazdu do Cesarstwa, ale go nie posłuchał i pozostał na miejscu, lubo niemal bez wszelkich środków

materjalnych. Podczas okupacji stanął na czele komitetu obywatelskiego w powiecie stopnickim, był jego prezesem i delegatem na zjazdy, które się odbywały w Radomiu i w Lublinie; równocześnie pełnił obowiązki prezesa Rady szkolnej i kuratora szpitala powiatowego, oraz członka rady miejskiej w Chmielniku. Najgorliwiej zajmował się tak ważną w owym czasie działalnością aprowizacyjną jako dyrektor sekcji aprowizacyjnej powiatu stopnickiego. Do tych licznych zajęć przybyły Mu jeszcze w r. 1917 stanowiska ławnika sądu apelacyjnego i deputata do sejmiku powiatowego.

Władze polskie, oceniając osobę i wytrawną wiedzę fachową ś. p. J. Dębickiego, powołały Go w grudniu 1918 r. na urząd członka a następnie prezesa delegacji Ministerstwa Skarbu na okręg kielecki, która miała sobie powierzone zorganizowanie miejscowych urzędów skarbowych. Po utworzeniu w kwietniu 1920 r. izb skarbowych ś. p. Dębicki otrzymał stanowisko naczelnika wydziału IV-go (akcyzowego) izby skarbowej w Kielcach. W roku 1921 był mianowany p. o. prezesa, a w r. 1925 prezesem izby skarbowej kieleckiej; pozostawał na tym urzędzie, wkładając weń cały zasób swej wiedzy i gorliwości do końca roku 1926. Z początkiem następnego roku wyszedł do emerytury ze zrujnowanem zdrowiem i siłami starganemi pracą całego życia. Nie długo spożywał chleb emeryta, zmarł bowiem 17 września 1932 roku w Pomiechówku pod Modlinem, gdzie zamieszkał przy rodzinie.

Przy licznych swych zajęciach służbowych i społecznych ś. p. J. Dębicki znajdował jeszcze czas na pracę umysłową. Ciągle dokształcał i uzupełniał swą wiedzę, wiele przeczytał i przemyślał. Oddawał się też w miarę możności zajęciom publicystycznym: szczególnie w okresie 1905—10 roku, gdy zamieścił cały szereg artykułów w sprawach społecznych i politycznych w petersburskiem czasopiśmie „Kraj", jakoteż w gazetach: Warszawskiej, Polskiej, Radomskiej i Kieleckiej.

Ś. p. Józef Dębicki był szczerym katolikiem, wzorowym mężem i ojcem rodziny.

Światłość wiekuista niechaj Mu świeci!

B. M.

S. P. BRONISŁAW ŁĄCKI

Ś. p. Bronisław Łącki urodził się w 1863 roku z ojca Hipolita i matki z Modlińskich w rodzinnym majątku Starostowo pod Opocznem.

Gimnazjum w Kielcach ukończył w r. 1885, poczem przeszedł na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego, który skończył w 1889 roku. Nie korzystał jednak z wiedzy prawniczej, musiał bowiem poświęcić się gospodarstwu w swoich dobrach: w Starostowie i Januszewicach, które dotąd zostały w posiadaniu rodziny.

Ożeniony z p. Sułowską, miał jedną córkę, Jadwigę.

Umarł w Warszawie 20 listopada 1933 roku i pochowany został na cmentarzu swojej parafji w Opocznie.

Pamięci Jego cześć!

KAZIMIERZ JANCZEWSKI

Kazimierz Glinka-Janczewski, był synem Feliksa i Bronisławy z Kurnatowskich. Urodził się w Kielcach 1876 r. Był trzecim wśród sześciu braci, miał siostrę przyrodnią ś. p. Irenę Grabkowską i trzy siostry: ś. p. Eleonorę Fryczową, z Probołowic oraz żyjące: p. Marję Thiedową z Koperni i p. Irenę Borkowską, w Kielcach.

Od początków gimnazjum żyliśmy z sobą dobrze, często odwiedzając z bratem Janem gościnny dom pp. Janczewskich. P. Janczewscy zajmowali cały parterowy dom, przy ulicy Orlej, odgrodzony murem od reszty posesji, ciągnącej się wzdłuż ul. Nowo-Warszawskiej. Do domu parterowego należał duży ogród, ciągnący się do niewielkiego strumyka, któren dawniej wyglądał inaczej, jeżeli nazwano go Silnicą.

Reszta posesji składała się: z domu piętrowego, oficyn, dawnego browaru i zabudowań. Zabudowania te mogły się nadawać do tajnych zebrań i zostały opisane przez naszego współkolegę Stefana Żeromskiego („Andrzej Radek" i „Wybieg instynktu". „Wybieg" zamieszczony był w Księdze Pamiątkowej Kielczan 1856—1904 r., wydanej w Warszawie w 1925 r., str. 130).

W niższych klasach zbieraliśmy znaczki pocztowe i prowadziliśmy handel wymienny, w pogoni za marką kanadyjską z „bobrem", lub — przylądkiem Dobrej Nadziei. Już wtedy kolega Kazimierz odznaczał się wielką systematycznością, a szufladka stolika zawierała różne zbiory i pa-

miątki najsystematyczniej ułożone. Później przyszło zbieranie motyli i układanie zbiorów entomologicznych, na własną rękę, z książek, bo nauk przyrodniczych nas nie uczono. Na dalsze wycieczki entomologiczne kolega nie wychodził, wolał pozostawać w domu i grać rolę domatora.

Z otrzymywanych pieniędzy kupował książki poważniejsze, często historyczne, jak „Szkice historyczne" Dr. Antoniego J. (Józef Rolle) i inne. Pilnie studjował gieografję i często wykreślał na mapach szlaki przyszłych podróży. Jedną z pierwszych była podróż do Konstantynopola, którą odbył w towarzystwie kolegów braci Jarońskich: Piotra i Wiktora. Na miejscu byli gośćmi p. Groplerowej, siostry p. Jarońskiej.

Drugą wycieczkę odbył do Skandynawji. Po ukończeniu gimnazjum odbyliśmy w kilku wycieczkę: koleją do Olkusza, skąd pieszo do Pieskowej Skały i Ojcowa. Stamtąd udaliśmy się do Częstochowy dla zwiedzenia Jasnej Góry.

Bywając często w domu p. Janczewskich, byłem uważany za domownika. Przygotowując się do egzaminów nieraz długo siadywaliśmy w nocy. Na drugi dzień znużeni, po dalszej pracy, zasypialiśmy snem sprawiedliwych. Ze snu budził nas okrzyk p. Janczewskiej: „apostołowie już śpią".

W końcowych klasach mieszkałem w domu p. Janczewskich i doznawałem wiele miłej gościnności i opieki ze strony p. Janczewskiej.

Wieczory świąteczne spędzaliśmy grając w ówczesnego wista z p. Stanisławową i p. Heleną, późniejszą Zygmuntową Janczewską. Zdaje się, że jeszcze dziś słyszę okrzyk oburzenia kolegi: „Państwo! Wist, po angielsku znaczy milczenie".

Bywaliśmy razem na wieczorkach u imienników p. Janczewskiej (siostra p. Zuhorawskiej). W zimie stale towarzyszyliśmy na ślizgawkę p. Zygmutowej Janczewskiej.

Po ukończeniu gimnazjum w 1888 r. — zapisał się na wydział prawny Warsz. Uniw., którego nie ukończył.

W 1891 r. odbyła się manifestacja na pamiątkę Konstytucji 3-go Maja. Nabożeństwo odbyło się w Katedrze Ś-go Jana. Po wyjściu z kościoła próbowano utworzyć pochód, który zatrzymano i wielu uczestników aresztowano. Jeden z aresztowanych studentów, Bruliński, prawnik, odebrał sobie życie w więzieniu. Po paru dniach odbył się

jego pogrzeb na Powązkach, przy licznym udziale studentów. Otoczono cmentarz i spisano obecnych.

Po pewnym czasie, już w domu, aresztowano Janczewskiego. Pewien czas spędził w więzieniu przy ul. Chłodnej. Dzięki usilnym staraniom puszczono go do domu.

Powróciwszy do Kielc, wstąpił do biura Tow. Kred. Ziemskiego i po 20 latach pracy doczekał się tytułu rachmistrza i rozwiązania tej placówki. Wtedy przeszedł do Izby Skarbowej w Kielcach, skąd dosłużywszy się pełnej emerytury, wystąpił. Dodatkowo pracował w Kasie Pożyczkowej, zamienionej na Tow. Wzajemnego Kredytu.

Poza zajęciami zawodowemi brał czynny udział w życiu Kielc, a zalety towarzyskie, łatwość wierszowania, deklamacja przysparzały mu triumfów w przedstawieniach amatorskich. Brał czynny udział przy urządzaniu Zjazdu Koła Kielczan. Na pierwszym inauguracyjnym zjeździe w 1925 r. i drugim w 1927 r. szliśmy obok siebie w pochodzie, jak za dawnych czasów, na obchód galówek, z kościołka gimnazjalnego do Katedry, parami, prowadzeni przez naszego Prefekta ks. kanonika T. Czerwińskiego.

W przerwie między obfitym programem zjazdowym, byłem u kol. Kazimierza, już żonatego, na obiedzie. Opowiadając Mu o swych pracach i zamierzeniach, byłem mile zdziwiony jego entuzjazmem. W urządzaniu trzeciego zjazdu w 1931 r., już nie przyjmował udziału, a odwiedziwszy go, zastałem złożonego ciężką chorobą. Z trudem mógł się poruszać, jednakże nadal interesował się memi pracami.

Po długich i ciężkich cierpieniach sercowych, zmarł d. 28 października 1933 r., pozostawiając wdowę p. Wandę z Niesiołowskich.

Spoczywa w grobie rodzinnym na cmentarzu kieleckim.

DR. KAZIMIERZ STROŻECKI

K R O N I K A

UZUPEŁNIENIE SPISU MATURZYSTÓW

W „Księdze Pamiątkowej Kielczan", wydanej staraniem naszego Koła a pod redakcją Tomasza Ruśkiewicza w r. 1925, mamy dokładnie podane spisy maturzystów Polaków Gimnazjum Kieleckiego od r. 1863 do 1904. W tomie I „Pamiętnika Koła Kielczan" (za lata 1925—1927) podaliśmy spisy maturzystów Kieleckiej Szkoły Handlowej od r. 1909 do r. 1918. Obecnie notujemy maturzystów, którzy ukończyli Gimnazjum Kieleckie w latach od 1905 do 1912. Czerpiemy te dane z księgi jubileuszowej gimnazjum naszego, wydanej przez władze rosyjskie (po rosyjsku) w r. 1913. Tytuł księgi: „Oczerk istorii Kieleckoj mużskoj gimnazii za pierwyja 50 liet jeja suszczestwowanija (1862—1912)". Warszawa 1913. Str. 264. Pomijamy nazwiska żydów i Rosjan.

W r. 1905 nie było maturzysty Polaka.

W r. 1906: Kaczanowicz Mieczysław
Pacanowski Marjan.

W r. 1907: Gielniewski Antoni
Hassenbejn Bronisław
Raczyński Kazimierz
Wędziński Edmund.

W r. 1908: Bartosiński Marjan
Fogt Jerzy
Popon Eugenjusz
Sokołowski Jerzy.

W r. 1909: Imiołek Franciszek
Kozłowski Stanisław
Ostrowski Jan
Składkowski Borzywój Jan
Sowiński Kazimierz.

W r. 1910: Bularski Jan
Hajdziński Stefan
Kabaciński Bogdan
Kwiatkowski Walerjan
Kucharczyk Jan
Maj Jan
Malicki Wincenty
Sarantowicz Franciszek
Straż Józef.

W r. 1911: Baryłko Marjan
Brydacki Jan
Budzyński Eugenjusz
Gajewski Bolesław
Roslau Bolesław
Smucha Antoni
Wrębiakowski Stefan.

W r. 1912: Gorczyca Wincenty
Kobyłecki Wacław
Nowak Juljusz
Ornatkiewicz Michał
Pecek Zygmunt
Strzelec Stefan
Szlachciński Wincenty
Werczyński Władysław
Witulski Wiktor
Witulski Stefan.

MUZEUM KIELECKIE

Pan Edmund Massalski, kielczanin, zamieścił w czasopiśmie „Służba nauce", (zesz. I z r. 1932. Kasa im. Mianowskiego) artykuł p. t. „Założyciel i kustosz Muzeum Gór Świętokrzyskish", w którym opowiada w jaki sposób, dzięki pracy kustosza, p. Tadeusza Włoszka, powstało w Kielcach Muzeum Gór Świętokrzyskich.

Kieleckie Muzeum Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego jest jak najściślej związane z osobą swego kustosza.

Z Kieleckiej ziemi wyrósł i wrócił do niej po wysłużeniu emerytury w ciężkiej służbie gimnazjalnego nauczyciela języków starożytnych. Osiedlenie się profesora-emeryta w Kielcach przypada na rok 1906. Był to czas, gdy rozżarzające się popieliska duszy polskiej pobudzały do czynów patrjotycznych, prowadzących bezpośrednio do wskrzeszenia pełnego życia narodu. Takim czynem było też założenie Polskiego Tow. Krajoznawczego.

Prof. T. Włoszek jako członek Oddziału Tow. Krajoznawczego, po naradzie z pierwszym jego prezesem ś. p. dr. Zawadzkim, lekarzem, przystąpił do organizowania Muzeum. Wynajęto pokój z kuchenką, do których wstawiono kupioną na licytacji szafę sklepową. Bawił wówczas w Kielcach na wycieczce naukowej ś. p. prof. Ludomir Sawicki. Przyszedłszy do siedziby Tow. Krajoznawczego trafił on na moment, kiedy biedzono się nad przystosowaniem kupionej szafy do technicznych wymagań muzealnych i do warunków lokalu. Wnet zostało powzięte postanowienie. Ktoś pożyczył narzędzi stolarskich i we trójkę: profesor uniwersytetu Sawicki, kustosz Włoszek i znany w Kieleckiem miłośnik archeologji Lenartowicz, zakasawszy rękawy, przerobili szafę na dwie mniejsze. Stoją one w Muzeum do dziś.

Bodajże pierwszym okazem muzealnym, zdobytym przez prof. Włoszka, było żelazne popiersie St. Staszica, wykonane w starej białogońskiej fabryce pod Kielcami, jedno z dwóch czy trzech istniejących.

Popłynęły do Muzeum chowane po domach pamiątki historyczne — dokumenty walk wyzwoleńczych, ordery, broń, mundury, portrety wodzów. Tworzyła się oaza wśród nijactwa publicznego życia w niewoli. Zgromadzone w niej materjalne pamiątki dawnej mocy ducha polskiego kierowały myśl licznych zwiedzających ku niezniszczalnym ideałom narodowym. Kustosz Włoszek, weteran 1863 r., był jakby dopełnieniem całości Muzeum. Zespolony ze zbiorami głębokiem umiłowaniem odzwierciadlonej w nich przeszłości, działał na gości podświadomą sugestją, tak samo jak i jego zbiory. Gdy dawano do Muzeum drogie rodzinne pamiątki, — to jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego głosu, mówiącego, że tak być powinno. — Osoba prof. Włoszka zespoliła się w opinji ogółu z ideą Muzeum.

Profesor nie jest jednostronnym kustoszem — manjakiem historji. Przeszłość jest mu droga, ale jako część Polski, co była, jest i będzie. To też prawie tak samo gorąco zabiegał o okazy należące do innych dziedzin poza historją. Pociągnął za sobą J. Czarnockiego i J. Samsonowicza, stawiających wówczas młodzieńcze kroki na drodze badania Gór Świętokrzyskich. Z ich darów i z ich pomocą założył fizjograficzny dział Muzeum. Zjednał amatora-archeologa St. Lenartowicza i stworzył z jego zbiorów bardzo cenny dział wykopalisk przedhistorycznych. Pokój z kuchenką prędko się zapełniły. Należało lokal powiększyć. Przeprowadzka pierwsza, później druga. Środków materjalnych biedne Kielce oczywiście nie mogły dostarczyć na pełne zaspokojenie ciągle rosnący potrzeb muzealnych. Mnożyło to jeszcze bardziej troski i prace kustosza, zmuszając go do wykonywania wielu czynności rzemieślniczych. Musiał być stolarzem, ślusarzem, introligatorem, nie licząc żmudnych prac konserwatorskich przy naprawianiu, oczyszczaniu i przechowywaniu okazów. Wprawdzie zawsze skupiał przy sobie ofiarnych pomocników, między któremi celował wspomniany już archeolog St. Lenartowicz, ale wiadomo, że pomocnicy w muzeum to — oprócz pomocy — osobna nowa troska.

Muzeum publiczne jest, jak wiadomo, nietylko składem przedmiotów. Ono musi być i szkołą, którą odwiedzają ludzie chciwi wiedzy o najróżnorodniejszem przygotowaniu, wieku i zainteresowaniu. — Niezmordowany kustosz nigdy nie zostawiał zwiedzającego bez pomocy, wobec przyczepionej do okazu lakonicznej kartki z napisem objaśniającym. Chce wszystkich zbliżyć do swoich zbiorów przez żywe słowo. Objaśnia, pyta, egzaminuje, od początku istnienia Muzeum po dzień dzisiejszy, pomimo, że przekroczył już 85 lat życia.

Ćwierć wieku niezmordowanej pracy prof. T. Włoszka stworzyła znany szeroko w Polsce poważny zaczątek przyszłego wielkiego kieleckiego Muzeum Gór Świętokrzyskich. Twórcy jego dała powszechną sympatję i popularność oraz zaszczytne odznaczenie honorowego członka Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i wysoki order Rzeczypospolitej.

DZIESIĘCIOLECIE 1925—1935

(zestawienie dat)

Koło Kielczan powstało w r. 1925 i rządzi się statutem, zatwierdzonym przez Ministerstwo Spraw Wewn. z dnia 5 czerwca 1925 r.

Początkowa liczba członków Koła, zarejestrowanych na I-ym zjeździe w Kielcach we wrześniu 1925 r. była:

miejscowych (w Warszawie)	116
zamiejscowych	122
razem	238

Po drugim zjeździe również w Kielcach w dniu 11 września 1927 r. liczba członków wzrosła do 341, w następnych jednak latach liczba ta wciąż maleje tak, że obecnie spadła do

miejscowych	75
zamiejscowych	50
razem	125

Ten ciągły ubytek członków tłomaczy się z jednej strony tem, że w gronie członków są przeważnie ludzie starsi, którzy zachowali sentyment dla swej uczelni i Ziemi Kieleckiej, lecz szeregi ich coraz bardziej śmierć przerzedza, z drugiej strony młodsze roczniki maturzystów nie odczuwają jakoś tego sentymentu i słabo zapełniają miejsca ubyłych. Podjęta przez Zarząd Koła w ostatnich czasach ponowna energiczna akcja celem wciągnięcia do Koła młodszych członków rokuje niejakie nadzieje powodzenia.

Finansowa strona działalności Koła w ubiegłem dziesięcioleciu przedstawia się jak następuje:

DOCHODY

Rok	Składki członków: miejscowych	Składki członków: zamiejscowych	Składki członków: Razem	Ze sprzedaży pamiętnika i inne	Ogółem złotych
1925—1926 (od czerwca 1925)			3632.—	69.08	3701.08
1927	1765.—	515.—	2280.—	1640.46	3920.46
1928	2303.50	1767.—	4070.50	830.32	4900.82
1929	1527.—	1710.—	3237.25	912.14	4149.39
1930	1531.50	1358.65	2890.15	717.67	3607.82
1931	1127.—	1460.—	2587.—	274.36	2861.36
1932	1227.—	180.—	1407.—	2.75	1409.75
1933	1065.—	1482.—	2547.—	6.90	2553.90
1934	870.70	947.10	1817.80	24.91	1842.71
Razem	11416.70	9420.75	24468.70	4478.59	28947.29

WYDATKI

Rok	Stypendja i zapomogi dla akademików	Wynagrodz. sekretarza (akademika) i kancelar.	Wydawnictwo pamiętnika	Różne	Ogółem złotych
1925—1926 (od czerwca 1925)	1107.—	974.75	—	185.—	2266.75
1927	1650.—	859.90	1256.08	22.95	3788.93
1928	1650.—	857.20	2260.—	116.80	4884.—
1929	2200.—	943.50	1260.—	74.40	4477.90
1930	2270.—	844.25	400.—	125.—	3659.35
1931	1400.—	844.47	1145.—	—	3389.47
1932	875.—	788.25	188.—	—	1851.25
1933	575.—	838.39	494.—	—	1907.39
1934	150.—	825.20	—	—	975.20
Razem	11877.—	7795.91	7003.08	524.15	27200.24

Zarząd Koła.

Pierwszym prezesem Zarządu Koła był kolega Bolesław Markowski, którego życiorys oraz wiadomość o zasługach jego dla Koła były umieszczone w Księdze Pamiątkowej Kielczan z r. 1925 oraz w pamiętniku Koła z r. 1930—31. Mandat prezesa Koła piastował do marca 1931 r., t. j. do czasu przeniesienia się z Warszawy do Kielc,

poczem wskutek uchwały Walnego Zgromadzenia Koła pozostał nadal honorowym prezesem Koła.

Następnie w r. 1931 prezesem Zarządu był kolega Stefan Raczyński, zaś od r. 1932 godność tę piastuje kolega Edward Zienkowski.

Członkami Zarządu Koła (6 członków i 3 zastępców) byli w różnych latach następujący koledzy: Barański Kazimierz, Czarnecki Jan, Frycz Stanisław, Janczewski Stefan, Karwicki-Dunin Jerzy, Kozarski Władysław, Łącki Bronisław, Możdżeński Leon, Oleszczyk Zygmunt, Pędowski Franciszek, Samsonowicz Jan, Strożecki Kazimierz, Szperl Ludwik, Taylor Karol, Wasilewski Zygmunt (kilkoletni i obecny v. prezes Zarządu), Wyszyński Bronisław, Zahorowski Władysław, Zydler Jan (kilkoletni v. prezes Zarządu).

Członkami Komisji Rewizyjnej (3 członków) byli w różnym czasie koledzy: Grabowski Kazimierz, Jędrzejowski Michał, Mitraszewski Stanisław, Pantoczek Stanisław, Pyrzykowski Władysław, Stefański Witold.

Redaktorem „Pamiętnika Koła Kielczan" wszystkich sześciu roczników był kolega Zygmunt Wasilewski.

Czynności kancelaryjne Zarządu Koła wykonywali kolejno akademicy: Stan. Gierat, Wojtowicz, Emil Zaremba i obecnie Mierzejewski.

W sprzedaży mamy obecnie 6 tomów „Pamiętnika".

Ceny zniżone:

Tom I (za 1925-1927).	Cena (zamiast	4	zł.)	zł.	2.—
„ II (za 1928)	„	„ 6	„	„	3.—
„ III (za 1929)	„	„	„ „	„	3.—
„ IV (za 1930—1931)	„	„	„ „	„	3.—
„ V (za 1932)	„	„	„ „	„	3.—
„ VI (za 1933—1935).	Cena				4.—

(W cenach mieszczą się koszta przesyłki).

Nabywać można przekazami na P. K. O. Warszawa. Konto Koło Kielczan, № 12.310.

Zamówienia do prezesa Koła E. Zienkowskiego, Warszawa, Kapucyńska 3.

TREŚĆ ROCZNIKÓW:

Tom I. Od wydawnictwa. Koło Kielczan: Statut. Sprawozdanie 1925 — 1927. Lista członków. Szkoła handlowa 1903 — 1918. — Nekrologi: T. Ruśkiewicz, St. Żeromski, M. Rowiński, E. Łuszczkiewicz, K. Koziorowski, St. Domosławski, E. Świecimski. — Wspomnienia: Fr. Pantoczka, Z. Wasilewskiego (o Żeromskim), L. Skorupki, E. Zienkowskiego. — Kronika.

Tom II. Koło Kielczan: Zjazd 1927. Sprawozdanie. Lista członków. — Z przeszłości: Wspomnienia Z. Wasilewskiego. Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach przez B. Markowskiego. Historja górnictwa gór Świętokrzyskich przez J. Samsonowicza. O Feliksie Jaworskim. — Kronika.

Tom III. Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach, p. B. Markowskiego. — O Bartosie Głowackim, p. S. Raczyńskiego. — Kościół św. Trójcy w Kielcach, p. ks. dr. J. Zdanomskiego. — Żerowski w roli prokuratora, p. Z. Wasilewskiego. — Patrjota, p. G. Wędrychowskiego. — Syzyfiana, p. J. Nowaka. — Kronika. — Zmarli: J. Kamiński, St. Czarnowski. — Koło Kielczan.

Tom IV. Udział woj. Krakowskiego w powstaniu listopadowem, p. W. Jaskłowskiego. — Pierwsze gimnazjum humanistyczne w Polsce, p. J. Nowaka. — Ludzie z czasów mojej młodości, p. T. Rybkowskiego. – Św. Katarzyna, p. Z. Wasilewskiego. — Uczeni Kielczanie (K. Taylor, L. Szperl, St. Glixelli, E. Taylor, K. Tymieniecki). — Przyczynki historyczne F. Kwiecińskiego, S. Raczyńskiego, St. Żeromskiego (list). — Kronika. — Koło Kielczan.

Tom V. Związki ziemi Kieleckiej z Bałtykiem, p. K. Tymienieckiego. — O dawnym Rakowie, p. J. Nowaka. — Adolf Dygasiński, p. Z. Wasilewskiego i Z. Wolertową. — Szkolnictwo w Kielcach, p. B. Markowskiego. — Listy z autografów: Towiańskiego, Matejki, M. Czajkowskiego, K. Ujejskiego, S. Żeromskiego. — Wspomnienia, p. K. Drymmera. — Pamięci zmarłych: F. Chwalibóg, ks. T. Czerwiński, T. Jaroński, M. Wilkoszewski, F. Kwieciński, St. Wielowieyski, J. Zagleniczny, M. Lange, A. Humnicki. — Kronika.

Tom VI. Ob. spis rzeczy w tym roczniku.

Do nabycia po cenie zł. 5.— (zam. 7.50) pozostałą w niewielkiej ilości egzemplarzy „Księga Pamiątkowa Kielczan“ z r. 1925.

W sprawach Koła Kielczan zwracać się należy do prezesa Koła Edwarda Zienkowskiego, Warszawa, ul. Kapucyńska 3.

Konto Koła Kielczan w P.K.O. Warszawa: № 12.310.

SPIS RZECZY